CENA ZŁ 20

Bazielich — Klimek — Okoński — Turwid — Żukrowski

# Odra tygodnik

NUMER 32 (194) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 28 SIERPNIA 1949 ROKU ROK V

Armii 101
Handlu
Biblioteka

LESZEK GOLIŃSKI

## Watykan w Bogatyni

Spójrzmy na mapę: na najdalej wysuniętym cyplu Polski w kierunku południowo-zachodnim granica tworzy jakby dużą pętlę: zwężona u gardła, rozszerza się bardziej ku południowi, jednym bokiem opierając się o wąziutką tutaj jeszcze Nysę. Przez Sulików i Zawidów dostać się możemy pociągiem do Bogatyni, największego osiedla w dziwacznym „worku". Świat tu zabity deskami. Z krajem łączy tylko wąska gardziel, przytłacza bliskość granicy niemieckiej.

Nie myślą jednak o tym mieszkańcy tego pięknego, ukrytego przed okiem świata zakątka. Rekrutują się oni przeważnie z osadników wojskowych, zwalistych, ogorzałych a wąsatych Kościuszkowców, co mając rękę jeszcze przywykłą do karabinu i chwytania lotnego granatu — splunęli w dłoń i zabrali się do orki na ugorze.

Mają inne zmartwienia.

Do redakcji „Gazety Robotniczej" we Wrocławiu z początkiem tego roku napłynęła niezwykła dość rezolucja, zaopatrzona sążnistymi podpisami parafian z Krzewiny, Działoszyna, Zatoni i Bogatyni. Głosiła ona, co następuje:

**„Całą Polskę powinien poruszyć fakt, że do dnia dzisiejszego** — pisali parafianie bogatyńscy — **część naszego powiatu wyłączona jest spod władzy polskiego duchowieństwa. Z oburzeniem stwierdzamy, że parafie Krzewina, Działoszyn, Zatonie i Bogatynia, zamieszkałe wyłącznie przez LUDNOŚĆ POLSKĄ, PODPORZĄDKOWANE SĄ NIEMIECKIEMU BISKUPOWI VON MEISSEN. Wyrażamy żal pod adresem władz kościelnych, że na przestrzeni 4 lat nie zdążyły jeszcze uregulować spraw administracyjno - kościelnych zgodnie z podstawowymi interesami i honorem narodu polskiego. NIE CHCEMY I NIE BĘDZIEMY DŁUŻEJ TOLEROWAĆ NIEPOLSKICH PARAFII NA POLSKICH ZIEMIACH NAD NYSĄ, zroszonych obficie krwią polskich żołnierzy. Żądamy formalnego i faktycznego uznania przez wszystkie władze kościelne, zarówno w obrębie naszego Państwa, jak i poza nim naszych granic zachodnich jako nienaruszalnych. Żądamy od polskich władz duchownych jasnego wyrażenia swojego stanowiska w sprawach dla nas najistotniejszych przez natychmiastowe oficjalne zlikwidowanie poniżającego naród polski dziwoląga administracyjno-kościelnego na polskim pograniczu".**

Tyle oburzeni parafianie.

Od chwili uchwalenia powyższej rezolucji upłynął szmat czasu i wiele wody przetoczyło się Nysą. Sprawa nie ruszyła jednak ani na krok naprzód.

Nadal pełnomocnikiem biskupa von Meissen, który urzęduje w łużyckim Budziszynie, jest ksiądz dziekan Edmund Grohman. Aczkolwiek odprawia on msze św. po łacinie, nie umie jednak ani słowa po polsku, nie jest obywatelem polskim ani nie stara się o obywatelstwo polskie.

Czy można dziwić się osadnikom z Bogatyni? Czy może znaleźć się ktoś, kto zdobędzie się na potępienie ich rezolucji?

Widocznie do wiadomości władz kościelnych nie doszło jeszcze, że granice Polski sięgają do Nysy łużyckiej, że prawy jej brzeg w całości należy do Polski, że tak ustaliła podział tej części Europy konferencja w Poczdamie, podpisana przez pełnomocnych przedstawicieli czterech mocarstw zwycięskich.

Widocznie do wiadomości władz kościelnych nie doszło jeszcze, że **w powiecie zgorzeleckim nie ma już ani jednego Niemca i że naprawdę jest rzeczą zbędną trzymanie tu niemieckiego proboszcza.** Chyba — że nie chodzi tu o istotne potrzeby wiernych, ale o manifestację polityczną.

A w takim wypadku — sprawa pozornie błaha nabiera zupełnie innego znaczenia.

Argumentem, często używanym dla wytłumaczenia polityki watykańskiej w odniesieniu do stanu tymczasowości, utrzymywanego w administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich, jest rzekome desinteresment Watykanu przed formalnym zawarciem traktatu pokojowego. Warto by jednak przewertować historię, czy istotnie Watykan zawsze i wszędzie stosował podobną politykę, chociażby w ostatnim okresie w odniesieniu do t. zw. ziem wcielonych do Rzeszy w trakcie wojny. Ale gdyby nawet trzymać się litery prawa, czyż ma ona jakikolwiek sens przy mechanicznym przydzielaniu powiatów czysto polskich do diecezji niemieckiej w Budziszynie, która nie posiada żadnej mocy prawnej w odniesieniu do ziem, położonych za granicą? **Czy istnieje jakiś logiczny powód trzymania księdza Grohmana i księdza Bruska, obu nie umiejących zupełnie mówić ani spowiadać po polsku, w polskich parafiach?**

Na tych dwu przypadkach nie kończą się jeszcze osobliwości powiatu zgorzeleckiego.

Na terenie, przynależnym w oczach Watykanu i w statystykach Watykanu do Niemiec, sprawuje przecież urząd proboszcza ks. Mrówka. Wiemy, że wielu było księży polskich, którzy niezłomnie walczyli na terenie Rzeszy o dusze swoich wiernych, że wymienimy chociaż **ks. Domańskiego,** któremu zabroniono zwracać się do papieża w języku polskim, że wspomnimy chociaż **księdza Szafranka,** któremu nałożono suspensę za „działalność wywrotową". Ks. Mrówka jest Polakiem i dnia 13 lutego b. r. (cytuję za „Gazetą Robotniczą") wygłosił z ambony swoje zadowolenie, że należy wraz z parafianami do diecezji wrocławskiej.

Ks. Mrówka uspokoił sumienia swoich parafian, wątpimy jednak, czy uspokoił swoje sumienie.

**Dnia 24 stycznia bowiem ksiądz biskup niemiecki, rezydujący w łużyckim Budziszynie, powiadomił listownie administratora polskiego we Wrocławiu, że stolica apostolska upoważniła go do TYMCZASOWEGO przekazania administratorowi apostolskiemu swoich uprawnień w tej części diecezji, która CHWILOWO należy do Polski, zastrzegając się jednocześnie, że akt ten nie może być uważany za zmianę granic diecezji.**

Oznacza to, że pomimo chwilowego znalezienia modus vivendi diecezja w Bautzen nadal obejmuje powiat zgorzelecki, czyli że dzieci osadników polskich może bierzmować ksiądz biskup von Meissen, a na metrykach widnieć będzie miejsce urodzenia Niemcy lub też jakiś nieokreślony bliżej dziwoląg. Znaczy to w dalszym ciągu, że nadal władzę nad duszami wiernych sprawować będą księża niemieccy, a administrator apostolski we Wrocławiu będzie jedynie korzystał z tymczasowego zastępstwa dla wykonywania tamtejszej jurysdykcji kościelnej.

Dokument ten oświetla jasno, że nie ksiądz biskup budziszyński, ale sam Watykan nie uznaje formalnie granic polskich, stwarzając jedynie w cztery lata po wojnie na tym terenie jakieś przejściowe formy administracyjne, jakieś stany tymczasowe, nie przyczyniające się bynajmniej do pokojowej odbudowy tych zniszczonych przez wojnę terenów. Oznacza on dalej, że w imię miłości dla „prawa i praworządności" Watykan najspokojniej wprowadzi z powrotem dawny podział administracyjny, zgadzając się na wypadek wyimaginowanego konfliktu zbrojnego na wysiedlenie dziesiątków tysięcy mieszkańców powiatu. I wątpimy, żeby tym wysiedleńcom dodawał otuchy, tak, jak to niedawno uczynił w języku niemieckim, przemawiając do mieszkańców Berlina.

„Damit ist eine Aenderung in der Dioezesanzugehoerigkeit Ihres Distriktes, die zur Zeit voellig unberührt bleibt, nicht eingetreten" — kończy się list ordynariatu „des Bistums Meissen Ruf: Bautzen 579 Unser Zeichen III — 114 13/2 z dnia 24 stycznia 1949 roku do „Erzvikara" Edmunda Grohmana w Seitendorf, o którym zapomniały już mapy i ziemia.

Na tym nie kończy się jednak chaos administracji kościelnej na Ziemiach Zachodnich. Katolickie „Słowo Powszechne" z dnia 7 b. m. zamieszcza szereg listów do najwyższych czynników Kościoła w Polsce — uchwalonych przez ludność Dolnego Śląska na zebraniach w parafiach. **„Dotychczas na Ziemiach Odzyskanych istnieje stan tymczasowy** — piszą w nich parafianie — **nie ma kurii biskupiej, nie mamy księży proboszczów własnych, a tylko administrujących nasze parafie".** Nie biskup a administratorzy apostolscy siedzą we Wrocławiu, w Gorzowie. Znaczy to, że w mniemaniu dyplomacji watykańskiej Polska ziem nad Odrą i Nysą nie posiada, tylko nimi administruje. Znaczy to, że granice nad Odrą i Nysą nadal nie są uznawane przez Rzym.

Być może, taka polityka jest komuś na rękę. Najbardziej jest ona chyba na rękę rzeszom Niemców, którzy opuścili te tereny, wzbudzając w nich nieuzasadnione nadzieje, udzielając im rozgrzeszenia za wszystkie zbrodnie, które kiedykolwiek i gdziekolwiek popełnili. W niepamięć idą dymy Oświęcimia, krematoria Dachau, Majdanka i Treblinki. W niepamięć idą zgliszcza setek miast i płacz milionów matek. Podnosi głowę — wystarczy wziąć do ręki pierwszą lepszą gazetę — faszyzm, rewizjonizm, a za nim militaryzm niemiecki. Pokój ludzi dobrej woli zmienia się na wieczne pogotowie wojenne.

Nie trudno odgadnąć, kto dla sprawy pokoju pracuje: czy biskup w Zgorzelcu, oczekujący zmiany granic swojej diecezji (nie tylko de facto ale i de iure), czy też osadnik, chłop polski, wybierający własnymi rękoma miny z pól śmierci nad Nysą. Na to nie trzeba być prorokiem ani cudotwórcą.

Trudno natomiast odgadnąć, jak można pogodzić przykazanie miłości bliźniego i zasady wiary z odgrzewaniem niemieckich haseł rewizjonistycznych, z obudzaniem faszyzmu, mordercy milionów wierzących Europejczyków, z utrzymaniem stanu niepewności i tymczasowości w sercu Europy. Trudno odcyfrować hieroglify polityki, która rozgrzesza ekskomunikę na robotników Warszawy i chłopów zgorzelickich.

Może ktoś nie zgodzi się z tymi słowami. Nie są one nacechowane ani nienawiścią, ani złośliwością. Mieszkańcy dalekiego Zgorzelca i Bogatyni mają jednak prawo modlić się i słuchać kazania po polsku i nikt im tego prawa nie odbierze, gdyż jest ono zgodne z etyką Chrystusową.

**LESZEK GOLIŃSKI.**

EUGENIUSZ PONIATOWSKI

## Kler w okresie „Wiosny Ludów" na Górnym Śląsku

**Wobliczu marcowych wypadków rewolucyjnych 1848 r. w Berlinie, na terenie Prus i wszystkich krajów niemieckich lotem błyskawicy rozeszły się gwałtowne żądania ludu zreformowania ustroju państwa z silną konstytucyjną władzą centralną na czele. Nacisk ten wywierany na Prusy i na wszystkie rządy Związku był tak silny, że nie śmiały one przeciwstawić się temu żądaniu. Tron Fryderyka Wilhelma IV chwiał się w posadach. Duchowieństwo niemieckie obawiające się szerzących się w szybkim tempie w całym kraju prądów liberalnych wraz z całym episkopatem na czele wystąpiło przeto do walki z rewolucją w obronie zagrożonego dotychczasowego ustroju. Na terenie prowincji Śląska biskup wrocławski Melchior von Diepenbrock zaniepokojony rozwijającym się ruchem demokratycznym w swej diecezji, w liście pasterskim z dnia 28. III. 1848 r. zaklina duchowieństwo, by całym swym wpływem przyczyniło się do zaprowadzenia porządku i spokoju, grożąc, że za zbrodnię buntu ciąży przekleństwo Boga z pokolenia na pokolenie i kara nie może być darowana (Schl. Kirchenblatt 1848 Nr 14). Konserwatywne duchowieństwo katolickie na Śląsku na wezwanie swego przełożonego opowiedziało się z miejsca za królem i za starym porządkiem.**

**Pragnąc stłumić silnie wzbudzony ruch rewolucyjny na terenie diecezji wrocławskiej, powołano do życia, za wzorem katolików zachodnich i południowych Niemiec „Katholischer Verein für kirchliche und religiöse Freiheit" (Katolicki Związek dla kościelnej i religijnej wolności"). Zawiązane na terenie całej diecezji liczne oddziały tego związku miały współpracować z centralą wrocławską, otrzymując od niej również wszystkie referaty i instrukcje dotyczące zagadnień politycznych. Związek ten, powiązany silnie z terenem przez parafie, prowadził wśród ludu śląskiego akcję przeciwko dążnościom wyzwoleńczym spod przewagi możnych. Dowodem tego niechaj będzie fakt, że na posiedzeniu związku we Wrocławiu w dniu 14 listopada 1848 r. ks. dziekan Edward Poppe z Prudnika krytykując stanowisko ludności górnośląskiej wobec wypadków politycznych oświadczył, że „na Górnym Śląsku głoszone są złe pojęcia wolności, równości i braterstwa" (Schl. Kirchenblatt 1848 Nr 26). Nic też dziwnego, że w oczach władz rządowych „Katholischer Verein" cieszył się dobrą opinią i mógł rozwijać swobodnie swą działalność. Związek ten, podobnie jak i cały szereg innych organizacji katolickich w Niemczech, był przeciwnikiem wszelkich zmian ustrojowych i politycznych, choć zadaniem jego wedle statutu (par. 11) była obrona interesów religii i kościoła katolickiego (Schl. Kirchenblatt 1848 Nr 26) — a nie mieszanie się do spraw politycznych. W rzeczywistości było jednak zupełnie inaczej, niż głosił statut. Związek ten poprzez duchowieństwo, które odgrywało w nim dominującą rolę, odciągał lud górnośląski od programu reformy ustroju gospodarczo - społecznego i świadomie utrzymywał swych członków w ciemnocie i zacofaniu.**

**Opiekunem związku był biskup M. Diepenbrock, przeciwnik reform społecznych, który oficjalnie wypowiadał się przeciw prądom liberalnym, przytaczając swym owieczkom, w ogłoszonym liście pasterskim z dnia 18. I. 1848 r. słowa Chrystusa „oddajcie cesarzowi co cesarskie jest" (Schl. Kirchenblatt 1848 Nr 48). Oto kilka wyjątków z jego odezwy: „posłuszeństwo a mianowicie dalsze oddawanie prawnych podatków Królewskim na ten koniec (t. j. w tym celu) ustanowionym urzędom, dla każdego katolika niewątpliwym, świętym i sumiennym jest obowiązkiem, według wyraźnego wyroku Chrystusa Pana... królewska władza od Boga jest postanowiona, i kto się jej sprzeciwia, ściąga — na siebie potępienie". W myśl więc wskazań swego biskupa, duchowieństwo katolickie na Śląsku ustosunkowało się nieprzychylnie względem buntującego się przeciw „cesarzowi" ludu. Dodać należy również, że 3000 egzemplarzy tego listu pasterskiego z polecenia króla rozesłano w całej diecezji wrocławskiej, pragnąc nawrócić lud śląski do tronu. Na terenie regencji opolskiej, t. j. Górnego Śląska — zamieszkałym przez 987.627 mieszkańców, w tym przez 900.000 katolików (Schl. Kirchenblatt 1848 Nr 40) — ludność do Zgromadzenia Narodowego w Berlinie, zgodnie z kolportowaną w tym okresie czasu odezwą, wzywającą „nie obierajcie xiężów nie obierajcie urzędników nie obierajcie panów", wybrała jako posłów 11 ze stanu chłopskiego, 3 z mieszczańskiego, a tylko 2 księży. Stało się tak dlatego, że spośród całego kleru górnośląskiego tylko jednostki przeciwstawiały się polityce biskupa i stanęły w obronie ludu. Do tych należał w pierwszym rzędzie proboszcz bytomski „deputowany powiatu" — poseł do Zgromadzenia Narodowego w Berlinie, ks. Józef Szafranek, członek „Klubu Demokratycznego" w Bytomiu, który za rzekome podburzanie ludności został zasuspendowany przez biskupa wrocławskiego, przy czym zabroniono mu używać tytułu księdza (Beuthener Stadt - Blatt, nr 23, 5.XII. 1848). Była to „czarna owca" wśród ówczesnego duchowieństwa górnośląskiego, gdyż — jak podaje ówczesna prasa (Schlesische Zeitung, nr 287) — „górnośląski katolicki kler w tych gwałtownych czasach trzyma się przy tronie i ojczyźnie".**

**W rozbudzonym wówczas polskim życiu organizacyjnym Górnego Śląska księża nie brali prawie w ogóle udziału, tylko nieliczni z nich przybywali na polskie zebrania, czy abonowali polskie gazety. Opinia współczesna nazywała ówczesne duchowieństwo śląskie raczej pruskim niż katolickim (X W K „Obecne prześladowanie religii katolickiej w Prusach", str. 8). Nauczyciel E. Smolka z Bytomia, pisząc o duchowieństwie górnośląskim z tego okresu, podkreśla, że księża w większej części są całkiem zniemczeni i wynarodowieni i „lubo uznają konieczność oświaty polskiej, jednakże albo z bojaźni lub też z osobistego interesu z małymi wyjątkami sprawie narodowej nic nie czynią"... i zaledwie 20 księży można by znaleźć, którzy by mogli zrozumieć sens pisma „Szkoła Polska" (Szkoła Polska 1849 I str. 175 i 199). Tak więc ospałe i gnuśne duchowieństwo śląskie, idące w 99 proc. na pasku rządu pruskiego, nie interesowało się ludem kompletnie, chociaż na terenie Górnego Śląska, liczącego najwięcej katolików spośród trzech regencji Śląska w 1851 r., było w 24 arcyprezbiteriach, obejmujących 213 parafii 580.228 osób wyznania rzym.-kat., w tym 560.417 Polaków, a tylko 3 proc. Niemców, włączając w to miasto Bytom, które liczyło tylko 280 katolików - Niemców (Komunikat Instytutu Śląskiego, Katowice, seria II Nr 18).**

**EUGENIUSZ PONIATOWSKI.**

JAN KOPROWSKI

## *Przechadzki po Wrocławiu*

**I.**

**We Wrocławiu lato, towarzysze.**
**Ulice biegną w pośpiechu do rynku.**
**Ponad miastem obłoki piszą**
**poemat waszym i moim synkom.**
**W twarzach przechodniów jak w lustrach**
**odbija się uroda Wrocławia.**
**Uśmiechają się balkonów usta**
**i polszczyzna napiera jak sława.**

**II.**

**Lubię małe ulice wrocławskie**
**zagubione w gwarze śródmieścia.**
**Powtykane między domy jak skrawki**
**wzorów w suknie niewieście.**
**Lubię ulicę Szewską**
**gdzie nieraz szewska pasja ogarnia,**
**gdy się głowa w zmierzchu niebieskim**
**chwieje jak potrącona latarnia.**
**Lubię ulicę Pokutniczą,**
**króciutką jak palec u ręki,**
**którą idąc wspominam wyczyn**
**robotnika Pawlenki.**
**Lubię ulicę Bałuckiego —**
**tutaj mieszka mój przyjaciel Władysław.**
**Gdy wieczorem pójdę do niego**
**wtedy tylko: Odra i Wisła...**

**III.**

**Szare cegły podobne skowronkom**
**pochylają się jedna ku drugiej**
**i zanoszą się śpiewem — jak nad łąką —**
**w chorale odbudowy długim.**
**Ręka z kielnią śmiga pośpiesznie**
**ściany miasta ku górze wznosząc.**
**Rzeczywistość rośnie szybciej niż we śnie.**
**Dłonie rosę na czole koszą.**

**IV.**

**Płynie Odra cicho, powoli**
**zapatrzona w most Grunwaldzki.**
**Speszone nad brzegiem topole**
**upadają na ziemię plackiem.**
**Potem wznoszą się, rosną, giną**
**w gajach nieba szumnych i gęstych.**
**Wrocławianin idzie obok, już mnie minął,**
**patrzy w miasto z uśmiechem męskim.**

**V.**

**We Wrocławiu lato, towarzysze.**
**Ulice biegną w pośpiechu do rynku.**
**Ponad miastem obłoki piszą**
**poemat waszym i moim synkom.**

HEINRICH SCHWARTZE

## Papież prześladuje katolików

**Autor poniższych uwag jest niemieckim biskupem ewangelickim. Wypowiedź jego jest o tyle znamienna, że nie ogranicza się tylko do krytyki ostatniego wystąpienia papieża, ale także potępia oficjalne stanowisko kościoła ewangelickiego.**

*Papież ogłosił, że wszystkie osoby, które popierają komunizm, mają być ekskomunikowane, a wszystkich aktywnych komunistów uznał za kacerzy. Katoliccy biskupi w Niemczech zgromadzą się niebawem w Fuldzie na naradę, której przedmiotem ma być sprawa wykonania papieskiego polecenia w naszym kraju. Co należy rozumieć — pytamy z kolei — według obowiązującego katolickiego prawa kościelnego przez ekskomunikę i przez uznanie kogoś za kacerza.*

*Ekskomunika albo klątwa kościelna jest karą kościelną, której następstwem jest — nie wykluczenie z kościoła, ale tylko wykluczenie ze społeczności kościelnej. Ekskomunikowany traci kościelne łaski i prawa, przy czym należy wziąć pod uwagę, że istnieją dwa stopnie ekskomuniki, które różne za sobą pociągają konsekwencje prawne.*

*Kacerzem nazywa kościół katolicki ochrzczonego członka kościoła katolickiego, który świadomie popiera naukę i dla nauki tej pracuje, która przeciwstawia się jakiemuś przez kościół katolicki ustalonemu dogmatowi, chociaż ten człowiek zna naukę katolicką. Kacerz zostaje ukarany w ten sposób, że odmawia mu się katolickiego pogrzebu, że wydaje się go państwu na wieczne więzienie, i to tylko w wypadku, gdy kacerz żałuje i wypiera się swego kacerstwa. Jeżeli zaś jest uparty, zostaje kacerz „ramieniu świeckiemu" wydany na śmierć na stosie. Teoretycznie trzyma się kościół katolicki po dziś dzień tego prawodawstwa, chociaż praktycznie może on dzisiaj jedynie kościelne kary zastosować w stosunku do kacerza. Pozostaje to w związku ze zmianą stanowiska, jakie w odróżnieniu od średniowiecza kościół w nowoczesnym państwie zajmuje.*

*Co oznacza dla kościoła katolickiego posługiwanie się tego rodzaju środkami w stosunku do wierzących.*

*Kościół katolicki już w roku 1891, za pośrednictwem encykliki papieża Leona XIII, odsądził socjalizm od czci i wiary a porządek kapitalistyczny uznał za zgodny z naturą i wolą Boską. Czterdzieści lat później, w roku 1931, podjął papież Pius XI myśl Leona XIII, powtórzył ją innymi słowami lecz w tym samym duchu i wyłożył doktrynę socjalną, której zasadnicze rysy zostały przejęte z włoskiego faszyzmu i z niemieckiego narodowego socjalizmu.*

*Katolicka doktryna socjalna, która nosi miano „solidaryzmu", pozwala sobie co prawda na pewne krytyczne uwagi na temat oczywistych błędów porządku kapitalistycznego, uwagi, które jednak kapitalizmowi nie szkodzą, bo nie podają właściwie żadnego sposobu na rozpoznanie, czy dana doktryna socjalna ma charakter kapitalistyczny, czy socjalistyczny. Każda doktryna socjalna, która wypowiada się za własnością prywatną, jeżeli chodzi o środki produkcji, jest — cokolwiek by ona zawierała — kapitalistyczna, podczas gdy socjalizm domaga się uspołecznienia środków produkcji. Z punktu widzenia historii kultury i teologii nazwać można potwornością taki fakt, że kościół katolicki naucza, że „własność nadzwyczajna została człowiekowi dana przez naturę, ba, przez samego Stwórcę". Tutaj przypisuje się panującym stosunkom, których podstawową cechą jest własność prywatna, naturalną i idącą po linii woli Bożej niezmienność, podczas gdy przecież jasną jest rzeczą, że dzisiejsze kapitalistyczne pojęcie własności zostało zaczerpnięte z prawa rzymskiego i nie może w żadnym wypadku uchodzić za pojęcie absolutne, przeciwnie, z chwilą, gdy w jego rozwoju rozpozna się nieludzkość, trzeba z nim wziąć rozbrat. Wszelako ogłasza kościół katolicki właśnie to pojęcie własności za święte, chociaż wywołuje ono kryzysy i dla własnego utrzymania się sięga do środków wojny imperialistycznej, wojny rabunkowej. Tutaj nie chodzi bynajmniej o „za" i „przeciw" teoryj, ale o uznanie tego, czego nas nauczyły dzieje, o uznanie prawdy.*

*Opowiadanie się chrześcijan za socjalizmem, za komunizmem, ma swoje uzasadnienie. Przyczyna leży w tym, że marksistowska doktryna społeczna jest słuszna i że inne doktryny społeczne są fałszywe. Chrześcijanin zaś jest zobowiązany popierać nie byle co, ale to co słuszne. Ma on zwrócić swoją uwagę na przyczyny zła społecznego, całkiem niezależnie od tego, czy zwierzchność kościelna uznaje te przyczyny czy nie. Jeśli jednak chce ona przeszkodzić staraniom o rozpoznanie owych przyczyn, należy jej powiedzieć, że nie pragnie prawdy.*

*Zarówno dla katolickiego, jak i dla ewangelickiego chrześcijanina jest jedna okoliczność szczególnie ważna. Wiadomo, że między kościołem katolickim i ewangelickim panują ogromne różnice wyznaniowe. Niezależnie od tego doszło między oboma kościołami do porozumienia w sposobie pojmowania pewnych rzeczy, do porozumienia przeciwko komunizmowi. W Chichester obradował komitet centralny rady ekonomicznej kościoła ewengelickiego. Tam to powiedział biskup z Chichester, dr Bell, że delegowani mają obowiązek wskazać kierunek postępowania w stosunku do komunizmu. Stworzono komisję dla dalszego opracowania protestów „przeciwko wywieraniu wpływu na wolność wyznaniową w Europie wschodniej". Z ramienia Niemiec należy do tej komisji bikup dr Didelius. W ten sposób „jedność" kościoła chrystusowego dokonała się jedynie w walce przeciw hasłom społecznym, których urzeczywistnienie stanowi warunek dla wywalczenia porządku takiego, w którym chrześcijanin będzie mógł być chrześcijaninem.*

*Walka z komunizmem — taka, jaką w Rzymie i w Chichester świeżo postanowiono — oznacza identyfikację kościoła z kapitalizmem i imperializmem jako źródłami głodu, nędzy, ucisku sumienia, wojny. Tak jest a nie inaczej.*

*Heinrich Schwartze*

KAROL OKOŃSKI

Rys. Lucyna Wranik

# KAIN

**Autor poniższego fragmentu prozy jest autochtonem. „Kain" jest wyjątkiem z powieści pod tym samym tytułem, której akcja rozgrywa się głównie w okolicy Raciborza, na krótko przed i w czasie ostatniej wojny.**

Wspaniały dzień letni. Grzejąc promieniowało słońce. Tysiące kwiatów kołysały się na ciepłym wietrze, a rzesze ptactwa trzepotały wesoło wokół wierzchołków olbrzymich drzew Rudy. Nieliczni przechodnie na głównej ulicy owej cichej miejscowości zdejmowali nakrycia głowy, o ile byli płci męskiej. Część kobieca dygała z szacunkiem i w uniżeniu składała ręce. Drogą przejeżdżał bowiem on — potężny i władczy. On, za którego w każdą niedzielę wszyscy modlili się w kościołach, a który nawet nie dziękował im za to.

Sztywno siedział w tyle bryczki. Był w obcisłym, eleganckim ubraniu myśliwskim. Na głowie miał kapelusz z dumnym czaplim piórem. Przed nim siedział książę dziedziczny. Również w myśliwskim stroju; na wolnym miejscu obok siebie miał cztery strzelby w skórzanym futerale. Z lewej strony księcia stary hrabia Prażma. Wciśnięty wygodnie w kąt, w ustach nieodzowne cygaro. Na osobnym miejscu w tyle siedział strzelec przyboczny w paradnym stroju myśliwskim z wszelkiego rodzaju sznureczkami i kokardami, z błyszczącymi guzikami; na głowie miał zielony kapelusz myśliwski, podobnie jak jego książąca mość Broda. Tylko z nieco mniejszym czaplim piórem.

Na wysuniętym naprzód miejscu woźnicy królował Klimza, stangret jego książęcej mości. Ta sama figura i postać co jego pan i prawie ta sama twarz, jeno całkiem gładko golona. Taki był przepis dla całej służby na zamku. Wedle przepisu była także podpadająca, kolorowa liberia stangreta. I wodze i bicz w ubranych w białe rękawiczki rękach.

Hrabia Prażma mógł ze swego narożnego siedzenia wygodnie obserwować stangreta. Czynił to też dokładnie i długo. Potem strzepnął popiół ze swego cygara poza krawędź bryczki i mruknął półgłosem:

— Jus primae noctis.

Książę dziedziczny zarumienił się trochę. Książę spojrzał przelotnie na hrabiego. Miał ściągnięte brwi i zaciśnięte wargi.

Ci Prażmowie. Ledwie otwierali usta, zawsze padała impertynencja. Brakowało tylko jeszcze, ażeby głośno był wypowiedział swoje myśli. Może po francusku, bo tyle poczucia taktu jeszcze mu przecież przypisywał. Ale co to pomagało? Siedzący na koźle Klimza miał dobre uszy i rozumiał po francusku i po angielsku równie dobrze jak po polsku i po niemiecku. Tego oczywiście nie mógł Prażma wiedzieć.

W tej chwili bryczka potoczyła się szerokim, pięknie wyrównanym i gładkim gościńcem. Nieomal bezgłośnie, tylko uderzenia kopyt wspaniałych kłusaków rozlegały się echem. Z lewej i prawej potężne drzewa obrębiały drogę, która biegła prosto jak strzała. Była to droga prywatna jego książęcej mości, na którą zwykłemu śmiertelnikowi nie wolno było wstąpić ani zajechać.

Książę przemyśliwał. Co za głupi pomysł miał jego dostojny pan ojciec, pozostawiając akurat jemu tego rodzaju spuściznę. Wówczas, na łożu śmierci, w poselstwie niemieckim w Paryżu. W cztery oczy omawiał wtedy ze swym następcą wszystkie sprawy dotyczące jego wielu posiadłości i zobowiązań, oraz udzielał mu różnego rodzaju dobrych rad i wskazówek. Był bowiem dbałym ojcem rodziny. Na końcu wyszeptał stary pan nieco zakłopotany:

— Ty przecież jesteś rozumnym człowiekiem, Wiktorze! Bo wiesz, Joachim to był dla mnie kochany chłopiec. Staraj się o niego. Nie spuszczaj go z oczu i spełniaj każde jego rozsądne życzenie!

A potem umarł sędziwy pan, a rządy objął on. Nie znaczyło to wiele dla niego. Był przecież już dorosłym człowiekiem, w dodatku żonatym. Z węgierską hrabianką, która wniosła do małżeństwa bodaj jeszcze raz tyle hektarów ziemi, aniżeli posiadał ojciec. I oczywiście także odpowiednią ilość poddanych. Była też dobrą gospodynią i wiedziała, jak zarządzać swoimi dobrami. Nie wiele też trzeba było zmieniać w zarządzaniu posiadłościami. Albowiem stary książę i tak ostatnie lata spędził w Paryżu, oddawszy uprzednio kierownictwo swoich prywatnych interesów w obce ręce.

Tylko Joachim stanowił ciężki problem.

Stary książę był właściwie już w latach, w których nie popełnia się więcej takich błędów. Ale dziewuszka była podobno naprawdę piękna. Trochę delikatna, ale miała cudowne, wielkie i ciemne oczy i równie piękne włosy. A figurkę miała jak gazela. Była dzieckiem leśniczego i wyglądała też jak rusałka leśna.

Dawno już wszakże leżała w ziemi. Umarła w chwili, gdy wydała na świat niezwykle silnego chłopca. Stary pan zaledwie odzywał się przez wiele dni po jej śmierci. Dla chłopca zaś postarał się o dobrą pielęgniarkę. A kiedy chłopiec był trochę starszy, zabrał go ze sobą do Paryża.

Tam więc malec podrastał. Przebywał więcej ze służbą, aniżeli ze starym panem. Była tu także najmłodsza córka księcia, księżniczka Małgorzata, starsza od Joachima o jakieś trzy lata. Ale ta miała guwernantkę, która była bardzo dystyngowaną panną z mocnymi zasadami. Patrzała ona niechętnym okiem, gdy księżniczka bawiła się ze znajdą. Chociaż sam jego wielmożność cesarski poseł nie miał nic przeciwko temu, aby jego córka bawiła się z Joachimem i ażeby oboje razem uczyli się języków lub innych przedmiotów. Ale jak powiedzieliśmy, poseł był mocno zajęty. Za to guwernantka nie miała nic innego do roboty, jak tylko pilnować księżniczki. Wolał więc chłopiec smokowi, który pilnował księżniczki, ustępować z drogi i pętał się rzadziej wśród służby.

Nasłuchał się też od niej wielu rzeczy. Napewno wiecej, aniżeli mu przysługiwało. Wnet też zauważył, że między ludźmi u góry,

w salonach, a ludźmi w izbie czeladniej jest jednak wielka różnica: Różnica, której wcale nie można wyrównać. A między tymi dwoma światami — on. Stary pan — u góry — nie robił żadnej różnicy między nim a swoją ukochaną córką. Może nawet kochał go jeszcze bardziej. Ale guwernantka i dozorca dawali mu dość wyraźnie do zrozumienia, że był tutaj kukułką w cudzym gnieździe.

W izbie czeladniej było inaczej. Bardziej swobodnie, nieskrępowanie, naturalniej niż w sztywnym towarzystwie u góry. Język był tutaj oczywiście także trochę swobodniejszy. Mając trzynaście lat umiał Joachim opowiedzieć księżniczce Małgorzacie wszystkie grube kawały z izby czeladniej w językach: angielskim, francuskim, niemieckim i polskim. Po polsku oczywiście zwłaszcza wtedy, gdy guwernantka była w pobliżu. Bo wtedy nie rozumiała ani słowa.

Ale więcej nauczył się tam, w dole. Zauważył, że także i tutaj patrzą na niego jak na intruza. Wszyscy byli coprawda uprzejmi i grzeczni dla niego. Szczególnie personel francuski i niemiecki. Ale byli tu także Górnoślązacy. Wkrótce też zaczęto szeptać naokoło, że Joachim to właściwie, — hm, no tak — to właściwie taki owoc z zakazanego drzewa. I dziwna rzecz, ludzie na całym świecie są nad wyraz cnotliwi w wypadkach, gdy idzie o cudze grzechy. Jego książęca mość i poseł cesarski w jednej osobie był oczywiście zbyt wysoko postawioną figurą, ażeby plotkarskie języki odważyły się wziąć go w swoje obroty. Ale Joachim... Trzeba było wszakże odnosić się także i do niego grzecznie, bo łobuz mógł się poskarżyć.

Ale gdzie się tylko dało, dawano mu do zrozumienia, że jest właściwie czymś gorszym, niż normalnie w łożu małżeńskim urodzeni ludzie. Ot, po prostu, bękart książęcy.

Niestety, miał jednak chłopak olej w głowie i rychło zauważył, co się wokół niego święci. Że właściwie nie ma w tym dużym domu nikogo, kto by go poparł, a tylko jedną współczującą duszę. Była to księżniczka Małgorzata. Duża, o kanciastych manierach i brzydkiej twarzy. Ale miała dobre serce i była mądrą dziewczyną. Tak samo samotna jak Joachim i w tym wieku, w którym młoda dziewczyna tęskni za miłością i współczuciem. Rzecz oczywista, że poczucie wyższego pochodzenia zachowała we krwi. Była i pozostała księżniczką i w tym względzie panowała nad sobą. Ale do Joachima żywiła siostrzane uczucie.

A dusze ich zgadzały się ze sobą. I on był małym szperaczem, zawsze zajęty myślami. I on umiał rysować i kochał muzykę. Wzajemnie przepytywali się lekcji, razem czytali, grali w szachy i śpiewali.

Najchętniej oczywiście przebywał chłopiec w stajni. Książę nade wszystko lubował się w dobrych koniach. Sam konno dobrze jeździł, a córka też chętnie dosiadała wierzchowca. A kiedy wyjeżdżała na spacer w okolice Paryża, musiał jej Joachim towarzyszyć. W ten sposób i on został dobrym jeźdźcem. I co więcej warte, wielkim przyjacielem zwierząt. Także i w tym punkcie spotykały się zainteresowania obojga młodych ludzi.

Może to było szczęście, że stary książę umarł. Mało płakała po nim w głębi Niemiec owdowiała żona i jego syn spadkobierca. Albowiem między nimi istniała tylko luźna więź. Księżna nie mogła księciu zapomnieć jego romansów. A książę dziedziczny wzrastał omal nie zauważony pomiędzy obojgiem. Potem przeżył swoje lata uniwersyteckie, służył w przybocznej gwardii cesarza — i ożenił się. A ponieważ był bardzo ostrożny w wyborze partnerki życiowej, stanął na własnych nogach. Nie potrzebował domu rodzicielskiego, sam bowiem miał trzy wspaniałe zamki.

Ale to fatalne dziedzictwo, ten Joachim! Młody książę wiedział oczywiście, jak jego siostra Małgorzata ustosunkowywała się do chłopca. Miało się bowiem swoich szpiegów w domu ojcowskim. A poza tym spotykał się przecież także od czasu do czasu z siostrą. Pomimo bowiem napięcia między rodzicami, między dziećmi panowała najlepsza zgoda. Był więcej niż dziesięć lat starszy od siostry, a pedantyczniejszy od niej o więcej niż sto lat. Z tego powodu patrzał na tę przyjaźń bardziej krytycznym okiem, niż trzeba było. Trzeba jej jednak było położyć kres.

W tym czasie porządkowano w poselstwie pozostałość. Przestawiano meble, zbijano skrzynie, segregowano akta. Młody książę stał z Joachimem pod oknem wielkiego salonu. Równie wysoki i wyprostowany jak jego ojciec. Spojrzenie miał tylko nieco bardziej surowe. Ale chłopiec, który oto stał przed nim, podobał mu się także. To jego szczere i pogodne oblicze i mądre oczy...

— I co teraz ma z ciebie wyrość, Joachimie?

Gdyby chłopak to wiedział! Z takimi możliwościami nie liczył się wcale. Stary książę nigdy nawet słówkiem nie pisnął, jak przedstawia sobie przyszłość chłopca. I teraz przyszło biedakowi na myśl, że właściwie to nawet nic nie posiada. Jak truteń żył w poselstwie. A że był mieszańcem, nie miał też uregulowanego toku kształcenia. Czytać i pisać umiał wcale dobrze. Ale księżniczka Małgorzata nic sobie nie robiła ze studiów humanistycznych, nie przywiązywała żadnej wagi do łaciny i greki. A poza tym kto miał jego studia opłacić? Jego protektor i łaskawca odjeżdżał właśnie w trumnie do Rudy, gdzie miał być pochowany w grobowcu rodzinnym.

— Ja nie wiem, panie... Wiktorze — wyjąkały bojaźliwie jego wargi. Gdy księżniczka mówiła o bracie, zawsze nazywała go Wiktorem.

— Mówi się: jego książęca mość. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze. — Wypadło to może trochę bardziej surowo, aniżeli młody książę sam sobie życzył. Joachim zląkł się i spojrzał na niego bojaźliwymi oczyma.

— Już dobrze, — uspokoił go książę — ale czy nie zastanawiałeś się, czym chciałbyś zostać?

O tak, nad tym oczywiście zastanawiał się Joachim nieraz. Zawsze, gdy widział książęcego stangreta jak zajeżdżał wspaniale złoconą karetą. Gdy patrzał na połyskujący od srebra zaprząg, na wspaniałe pełnokrwiste konie i na siedzącego wysoko na koźle mężczyznę, który nad wszystkimi tymi wspaniałościami sprawował władzę. Stangret miał na sobie paradny mundur z wieloma grubymi, ciężkimi od złoceń sznurami u surduta. Z wielkimi srebrnymi guzikami, na których widniał herb. Na nogach połyskujące buty ze złotymi wypustkami, na rękach białe skórzane rękawiczki. W ręku lejce i wspaniały bicz, z którego można było tak pięknie trzaskać.

— Chciałbym bardzo zostać stangretem — powiedział bojaźliwie.

Młody książę zrobił głupią minę. A po chwili zaczął się śmiać głośno i serdecznie, co u niego zdarzało się rzadko. Bo pomyślcie, już podczas choroby starego pana łamał sobie głowę nad tym, co zrobić z tą jego fatalną spuścizną, nie mogąc znaleźć nijakiego rozwiązania. A ten łobuz przeciął ten węzeł gordyjski w tak prosty sposób. Całkiem podświadomie stawał na własne nogi.

— Dobrze, mój chłopcze. Pójdziesz więc do stajni w Rudzie. Lecz nie zapomnij tytułować mnie: jego książęca mość. A mojej siostry jaśnie oświeconą księżniczką, a nie Małgorzatą.

Tak to dostał się Joachim Klimza do Rudy, do stajni książęcej. Stangret księcia był w siódmym niebie, gdy zasiadł na swoim tronie. Teraz biegłą ręką kierował końmi, a wóz myśliwski toczył się swoją drogą. Wywijał oto biczem i myślał o swojej kochanej młodej żonie, która pozostała w domu i o swoich dwóch wisusach. Może także o matce chrzestnej małych Klimzów, księżniczce Małgorzacie.

Do swego połowicznego brata natomiast, do jego książęcej mości Brody odwrócił się plecami.

Przy leśniczówce wałbrzyskiej stał już radca leśny, dalej hrabia Ledebour i gruby leśniczy Rebinger z paroma swymi kolegami. Oprócz tego rzesza robotników leśnych i chłopców, którzy mieli wziąć udział w obławie. Wszystko na widok przystającej bryczki zdjęło czapki.

— Gdzie jest Buchta? — zapytał książę patrząc w powietrze.

— Tutaj, jego książęca mość. — Robotnik leśny Buchta wybiegł z grupy i stanął przed bryczką.

— Gdzie znajduje się odyniec?

— Prawdopodobnie przy samej kracie, na drodze do Jankowic.

— Radco leśny, proszę stworzyć kocioł. Ledebour niech jedzie też. Ty, Buchta, pokażesz drogę.

Kiedy hrabia Ledebour wsiadł do bryczki, Joachim ruszył. Za kroczącymi przodem robotnikami leśnymi. Przed płotkiem przy jankowickiej drodze Buchta zatrzymał się. Bryczka myśliwska również. Panowie wysiedli. Strzelec przyboczny księcia wziął flintę swojego pana.

— Joachim, wjedź trochę bardziej w zarośla. Tam czekaj. Nie oddalać się od bryczki.

— Według rozkazu, książę!

I grupa panów znikła w zaroślach udając się w kierunku ambony. Buchta został przy stangrecie. Był zrozpaczony. Rzadko kiedy ciążyła mu służba u pana tak jak dzisiaj.

— Mój biedny odyniec, powtarzał w kółko.

— Wszyscy jesteśmy biedni, kochany Buchto — odpowiedział stangret z namysłem.

Naokoło zagrały rogi myśliwskie. Nagonka zaczęła się.

— Miałbym ochotę zobaczyć sobie tę zabawę z bliska — powiedział po chwili Klimza.

— To byś musiał podczołgać się tam, do tych zarośli. Mniejwięcej pięćdsiesiąt metrów na prawo. Tam, gdzie te trzy sosny stoją obok siebie. Ale rób tak, żeby cię nie zobaczono z ambony. Zdejm także kapelusz. Bo jak cię Broda zobaczy będzie awantura.

— E, co tam Broda — Joachim machnął ręką. — Ale moje konie.

— Ja tu zostanę.

— No to dobrze. Ale uważaj, gdy będą strzelać, mogłyby się spłoszyć.

— Już ja je przytrzymam.

I Joachim Klimza zdjął kapelusz, położył go na siedzeniu stangreta i zaczął ostrożnie i pochylony podchodzić do zarośli w określonym przez Buchtę kierunku.

— Panowie, rozumie się samo przez się, że strzał zostawimy organizatorowi łowów — powiedział hrabia Prażma, kiedy grupa myśliwych zbliżyła się do ambony. Wszyscy zgodzili się na to. Jego książęca mość Broda podziękował miłościwym skinieniem głowy. Był teraz myśliwym w każdym calu. Wszystkie nerwy w nim drżały. Odyniec musiał być wspaniałym okazem. Zaledwie grupa zbliżyła się do ambony, książę wyrwał przybocznemu strzelcowi flintę z ręki i już był przy balustradzie, na stanowisku. Brzmienie rogu zbliżyło się.

— Po drugiej stronie coś się rusza — zauważył hrabia Ledebour. Wszystkie szkła przesunęły się w tamtym kierunku.

— To może być odyniec — zauważył hrabia Prażma.

— Tak, to on. Cóż by to mogło być innego. Wydaje się doprawdy być olbrzymim okazem.

— Komiczne — powiedział właśnie hrabia Prażma. — Ten odyniec ma włosy. Ale w tym samym momencie huknęły dwa strzały, jeden po drugim. Książę wypalił z obu luf.

— Szczęście łowieckie, Wiktorze! Chłopak już się nie podniesie — zawołał hrabia Prażma.

Tak. Już nie podniósł się stangret księcia, Joachim Klimza. Jego książęca mość Broda dobrze trafił. Dwa gładkie strzały w głowę. Koniec był szybki i bezbolesny.

— Mój biedny odyniec — powtarzał szeptem robotnik leśny Buchta, gdy padły strzały. Konie spłoszyły się nieco. Ściągnął je mocno za uzdę.

— Klimza! — zawołał. Nikt nie odpowiedział, nikt nie poruszył się. Zaczekał jeszcze chwilę.

— Klimza —! — zawołał głośniej. Znowu nic.

A potem usłyszał głos hrabiego Ledeboura.

— Na miłość Boską, sanitariusze! Po lekarza!

Nawoływania ze wszystkich stron, rwetes. Tłum przedarł się przez zarośla. Równocześnie rozległo się ostre wołanie:

— Nie ruszać! Niech tak zostanie, jak leży. — Był to głos młodego leśniczego Schütza.

— Dlaczego? — zaprotestował hrabia Prażma.

— Nie ruszać, dopóki zarząd gminy nie zostanie powiadomiony o wypadku. On potem zarządzi, co potrzeba.

Książę nie powiedział nic. Nieco blady patrzał przed siebie. Rowerzyści pognali do pobliskiej wsi. Za kwadrans był naczelnik gminy na miejscu. Z wielkim łowczym Reinholdem i łowczym Hermannem. Nachylił się nad zwłokami i jął badać miejsce na głowie, gdzie trafiła kula.

— Kto oddalił zwłoki od miejsca wypadku? — zapytał ostro. Nikt się nie zgłosił. Naganiacze cofnęli się nieco. Zaczęło być nieprzyjemnie. Woleli się więc usunąć na bok. Także panowie stali w zakłopotaniu tworząc osobną grupę.

— Kto strzelał?

— Ja. Ale zapewniam cię, że to nie moje wina.

W głosie księcia zadrgała nieomal nuta trwogi. Formą „ty" posłużył się mechanicznie, z przyzwyczajenia.

— To mnie nic nie obchodzi. Odpowiesz za to przed własnym sumieniem i przed sędzią.

Gromady poruszyły się. Naganiacze przepychali się bliżej. Naczelnik gminy i książę na „ty" — to było interesujące.

Jego książęca mość Broda zamilkł i całkiem zmieszany patrzał na naczelnika gminy. Nie mógł pojąć, jak taki prostak pozwala sobie w jego posiadłościach przemawiać do niego tym tonem. Hrabia Prażma opanował się pierwszy. Pańska krew w nim zakipiała.

— Człowiecze, zdajecie się zgoła wcale nie pojmować, przed kim stoicie! — wybuchnął.

— Przed człowiekiem silnie podejrzanym o ciężką zbrodnię, który w dodatku ośmiela się do naczelnika gminy podczas służby mówić przez „ty". Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

— Pośród naganiaczy widać było niektóre roześmiane twarze. Lecz hrabia Prażma był dyplomatą, umiał sobie radzić w każdej sytuacji.

— Sądzę, że te sprawy możemy przecież załatwić w spokoju i pomiędzy nami, panie naczelniku — zaczął ze znaczącym gestem w kierunku naganiaczy.

— W sprawach prywatnych gotów jestem rozmawiać prywatnie. Ale to jest sprawa publiczna.

Hrabia Prażma zamilkł zaambarasowany.

— Zwłoki zostaną tu do czasu, aż przyjedzie komisja sądowa z Raciborza. Będą oczywiście strzeżone. Straże postawi pan, radco leśny. Pan też będzie odpowiedzialny za to, ażeby tu nic nie zmieniono. Sądzę, że panom mogę pozwolić odejść. Także sprawcy, bo zatajenia istoty czynu nie należy się chyba obawiać. Tu naczelnik gminy zwrócił się do wielkiego łowczego. Ten skinął przyzwalająco.

— Będziemy jednak jeszcze musieli sporządzić tymczasowy protokół — mówił dalej naczelnik gminy. Muszę więc panów poprosić, by pozwolili do leśniczówki.

— Uch, ależ to był ciężki poród — jęknął gruby Prażma, gdy panowie wsiedli znowu do bryczki. Wtulił się z lubością w swój kąt i zapalił doskonałą Hawanę. Książę dziedziczny usiadł na miejscu stangreta, wrzucając kapelusz Joachima do wozu. Ujął lejce i bicz.

— Jazda — zakomenderował Prażma, gdy wszystko było załadowane. Konie ruszyły galopem.

Książę był w cudownym nastroju. Nie można powiedzieć, aby nagła śmierć stangreta zrobiła na nim zbyt wielkie wrażenie. Od dawna przywykł patrzeć na siebie jako na pępek świata, ażeby los bliźniego mógł go szczególniej wzruszyć. Gniewały go tylko nieprzyjemne okoliczności, jakie w związku z tym wypadkiem były związane z jego osobą. Nie obędzie się bez przesłuchów, a publicznej rozprawy sądowej także z trudem można będzie uniknąć. To wszystko trzeba było zostawić na głowie Schwarzkopfa. Potrafił bowiem tego rodzaju sprawy załatwiać wyśmienicie. Miał też odpowiednie stosunki wśród sędziów i adwokatów.

*Karol Okoński.*

FRANCISZEK NIEDZIELSKI

# Lidice

Wiodąca z Pragi w kierunku północno-zachodnim droga zawiedzie szukającego wrażeń wędrowca do małego miasteczka, Hladna, w którego rejonie znajduje się, a raczej znajdowała wioska Lidice. Do czasów okupacji Lidice były dla mieszkańców Czechosłowacji jedynie nazwą małej wioski, jakich setki spotyka się w każdym kraju. Dziś nazwa ta jest symbolem. Bo wieś Lidice zniknęła z powierzchni ziemi na rozkaz przywódcy „Kulturträgerów" w pamiętnym dniu 10 czerwca 1942 roku. Bo z 500 jej mieszkańców żyje obecnie zaledwie kilkanaście kobiet i 16 dzieci. Pamiętamy pacyfikacje okupanta: tysiące ofiar rozstrzelianych, więzionych, zsyłanych na przymusowe roboty, wleczonych po krwawych przesłuchaniach do obozów koncentracyjnych. Na przykładzie Lidic obserwujemy groźniejsze jeszcze tendencje: nie była to zwykła akcja odwetu czy chęć wyniszczenia narodu, tu przeprowadzono równocześnie zorganizowaną, przemyślaną we wszelkich szczegółach akcję wynarodowienia. Niedawno minęła 7 rocznica tragedii lidickiej, która poruszyła w swoim czasie sumieniami wszystkich społeczeństw krajów cywilizowanych.

* * *

Próby ożywienia idei nazistowskich zbyt dobrotliwie są tolerowane w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec. Proces norymberski, wskutek którego totalny ustrój wszechludzkiego wstecznictwa, wystawiony pod pręgierz opinii światowej — zdawaćby się mogło — raz na zawsze zaprzestał zagrażać narodom, stanowił jedynie mały fragment — był czymś dla uspokojenia umysłów, jakbyśmy to teraz nazwali wobec faktów, które przyniósł późniejszy okres rządów partnerów anglosaskich i „zmarshallizowanej" Francji na zachodzie Niemiec. Farsa denazyfikacyjna w Bizonii, powrót elementów profaszystowskich na odpowiedzialne stanowiska w polityce, gospodarce i sprawach kulturalnych Niemiec Zachodnich — to zjawisko, które „przestało razić". Skutki nie dały na siebie długo czekać: rewizjonizm, niespotykanych dotąd rozmiarów, najpierw cicha, a obecnie jawna współpraca koncernów, trustów i karteli anglo-amerykańskich z przemysłem Zagłębia Ruhry (I. G. Farbenindustrie, której produkt, gaz „Cyklon", torował drogę agresji niemieckiej w Europie); fakt dążności Stanów Zjednoczonych do przodownictwa i rozszerzenia strefy dolarowej na jak największą liczbę państw kontynentu też jest nie bez znaczenia, chociaż nie interesuje nas fakt, *jaki* kapitalista lokuje swoje udziały w fabrykach niemieckich — ważnym jest, że robotnik nic z tego nie osiągnie, nadal narażony na głód, bezrobocie i ucisk.

* * *

Z czerwca 1942 r. zabity został z rąk patrioty Obergruppenführer SS, Heinz Heydrich, w pobliżu miejscowości Lidice. Śmierć jednego z katów hitlerowskich okazała się straszną w skutkach dla mieszkańców spokojnej wioski. Hauptsturmführer Herald Wiesmann, szef Gestapo w Hladnie, stwierdza w piśmie „tłumaczącym" przeprowadzoną akcję, że „mieszkańcy dopomogli sprawcom zamachu na H. Heydricha, poza tym gromadzili oni broń i amunicję ..." Sam Hitler, znajdując tę sprawę jako b. ważną, zainteresował się nią osobiście. „Wyrok" był krótki: „Lidice zniknąć z powierzchni ziemi, mieszkańcy zostaną rozstrzelani lub umieszczeni w obozach koncentracyjnych, dzieci przekazane na *odpowiednie* wychowanie."

Burmistrz miasta, Fr. Hejme, zbudzony około godz. 2 w nocy warkotem zajeżdżających do wsi samochodów ciężarowych z żołnierzami SS zmuszony został do oddania pieniędzy i dokumentów gminnych prowadzącemu „akcję" oficerowi SS. Wieś otoczono. Wywleczono na plac wszystkich mieszkańców. Nastąpiła selekcja: mężczyźni i chłopcy powyżej lat 16 zostali oddzieleni od kobiet i dzieci. Rozpacz, graniczące z obłędem ogarnęła drugą grupę, świadomą losu swoich najbliższych. Oszalałe rozpaczą kobiety z płaczącymi dziećmi ładują już na samochody ciężarowe, wywożąc je. Pozostałą grupę 192 osób pędzą do zagrody wieśniaka nazwiskiem Horak, w którego stodole — po sprawdzeniu listy nazwisk, oczywiście — dziesiątkami rozstrzeliwują. Z wrodzoną sobie dokładnością rzucają następnie zabitych do wspólnego grobu za stajniami. „Schnellkommando" z Pragi, specjalnie przywiezione w silnej obsadzie, przystępuje do pracy: przepędza z wioski bydło, zbiera i ładuje na samochody sprzęt rolniczy, rowery; żołnierze SS oblewają benzyną wszystkie zabudowania, podpalają je, a po wygaśnięciu zgliszcz wysadzają ruiny dynamitem i zaorują traktorami.

Tu były Lidice — teraz wykreślone z granic i map Europy! Ale to jeszcze nie koniec tragedii!

* * *

Ciche wówczas mury szkoły w Hladnie napełniły się rozgwarem. Nie był to jednak wesoły szczebiot dzieci, skoro natychmiast kazano pozamykać wszystkie okna. Tu, w murach hladneńskiej szkoły odbył się dalszy etap tragedii: rozdzielenie dzieci od matek. Dyrektywy były jasne: „kobiety zostaną skierowane do obozów koncentracyjnych, dzieci rozmieszczone u rodzin niemieckich" (na terenie krajów okupowanej Europy). Przypomnimy w tym miejscu, że z 203 kobiet z życiem uszło z obozów koncentracyjnych 143, a z liczby 105 dzieci odnaleziono 16. Zostały one na koloniach wypoczynkowych w mieście, skąd wywieziono je na tułaczkę i wynarodowienie w Hladnie.

Znajdujemy się obecnie wśród odnalezionych dzieci lidickich. Głęboka cisza panuje tutaj, podkreśla ją jeszcze bardziej ponury nastrój tych murów. Sekretarz Rady Narodowej, Józef Nowak, pod którego troskliwą opieką znajdują się dzieci, pozwala porozumieć się z dziećmi. Z grupy 19 dzieci, które przebywały m. in. na terytorium Polski, spotykamy tutaj: 14-letniego Wacława Hanfa, siostrę jego, Maruszkę (lat 17) oraz 15-letnią Marię Doleżal.

Wyglądający poważniej od innych dzieci Wacław jest smukłym blondynem o miłych rysach i smutnych, niebieskich oczach. Jest on jedynym chłopcem z grupy odnalezionych dzieci. Idąc powłóczy nogą, choć go zdrowego wywieziono z domu. W czasie uroczystości w Lidicach przemawiał on przed mikrofonem radia do Prezydenta, członków Rządu, rodzin i społeczeństwa — jest więc nad wiek rozwinięty.

Z opowiadania Maruszki Hanf o jej tułaczce dowiadujemy się, że została ona *sprzedana* za 50 marek przez kierowniczkę szkoły w Puszkowie, Niemkę Hoepfner, rodzinie mechanika kolejowego, Richtera. Jego przypomina sobie Maruszka dobrze, twierdząc, że „był czysty, ale śmierdział kapustą". Po kilku dniach pobytu jej u Richterów przezwano ją Margot Richter, dano jej nauczyciela języka niemieckiego i posłano do modniarki na praktykę. Kiedy już dobrze opanowała język, Richterowie zapisali ją do organizacji młodzieżowej B. D. M. Jak daleko posunął się u niej proces germanizacji, może świadczyć fakt, że — jak twierdzi — „lubiła Bund, bo tam było miło", i ona sama została wkrótce Mädchenführerin.

8-letnia Maria Doleżal przydzielona została do rodziny Alfreda Schillera, handlarza obrazów w Poznaniu. Mała Maria pracowała stale w domu nowych „rodziców", a po pewnym czasie „przechrzczono" ją, nadając jej imię Ingeborg, nazwisko — oczywiście — Schiller. Partyjni koledzy „Vatti Schillera", odwiedzający często dom, twierdzili, że „będzie dobrą Niemką." „W r. 1944 — przypomina sobie obecnie już 15-letnia Maruszka — partyjnicy NSDAP nie przychodzili już tak często, a jak przychodzili, to już nie w brunatnych mundurach, lecz w cywilu". Przed zbliżającym się końcem Wielkich Niemiec, Schillerowie wraz z Maruszką uciekli do Hamburga, następnie do Berlina, gdzie Maruszkę zastała wolność. Maria tak zżyła się z Schillerową, że najpierw słyszeć nie chciała o wyjeździe do rodzinnej Czechosłowacji, gdzie w szpitalu praskim kończyła życie jej matka. Pełne tragizmu były odwiedziny córki, która nie pamiętała matki swojej, u jej łoża w szpitalu. Parę tygodni później matka zmarła, doczekawszy się powrotu jedynaczki.

Inne dzieci lidickie, które znajdowały się na terenie Polski, trzymane były w Chełmie. Były to te z nich, które nie mogły „poszczycić się" czystością rasy, nie godne więc były żyć. Są pewne, nie potwierdzone jednak dowodami dane, że zostały one spalone w oświęcimskim lub majdańskim krematorium, gdzie zabito gazem i spalono ponad 600.000 dzieci żydowskich, polskich, norweskich, czechosłowackich i francuskich.

* * *

Te sprawy o Lidicach przedrukowujemy z prasy angielskiej. I z niej też wypisujemy ostatnie zdanie, jakże łagodne ale równocześnie jakże pełne niepokoju:

Kiedy szukający wrażeń wędrowiec, o którym była mowa na wstępie, uprzytomni sobie wszystkie te fakty — z jakimi zapoznaliśmy się fragmentarycznie w naszym reportażu-artykule — nie zdobędzie się napewno na zaufanie do niemieckich rewizjonistów, ani do ich duchownych i świeckich protektorów.

*Franciszek Niedzielski.*

## O Słowackim w Słowacji

Najnowszy zeszyt znanego słowackiego czasopisma literackiego „Slovenske Pohlady" przynosi nam na marginesie recenzji z świeżo wydanego słowackiego przekładu „Anhellego" (tłumaczył Jan Holly, Trnawa 1949 wydał Spolok Svateho Vojtecha) artykuł J. Banskiego poświęcony zagadnieniu dotychczasowej znajomości wielkiego polskiego poety romantyka na terenie sąsiedniej Słowacji. Autor wskazuje, że Słowacki dotychczas mało był na Słowacji znany; zaciążył tu niechętny byronizmowi kierunek „szturowców", którzy woleli zawsze Mickiewicza. O Anhellim nie wspomina nawet Mecziar w swych szkicach o polskiej literaturze „Poezja a život". Dopiero w miarę jak nowsza literatura słowacka, modernizm z okresu bezpośrednio przed albo podczas drugiej wojny światowej, zaczęły się orientować na słowackiego byronistę Janika Krala, wzrosło i zainteresowanie Słowackim, który ze swej strony był ojcem polskiego modernizmu.

Pierwsze utwory Słowackiego były w „Orle", piśmie wydawanym przez Andrzeja Truchly-Sytniańskiego, a ich autorem był Jurai Kello-Petruszkin. Pojawiły się tam kolejno „Arab"; „Mnich"; „Ojciec zadżumionych"; „Jan Bielecki" i „Hugo". Ponieważ autor nie zatrzymał polskiego akcentu w rytmicznej strukturze wierszy, zatracił przez to charakter wierszy Słowackiego.

Sumienniejszym przekładowcą był wielki poeta słowacki Hviezdoslav, który tłumaczyć zaczął Słowackiego pod wpływem swojego przyjaciela Romana Zawilińskiego. Hviezdoslav przełożył „Grób Agamemnona" (1902) „Ojca zadżumionych" (1902) i „W Szwajcarii" (1915). Przekład poezji Słowackiego przez Hviezdoslava wywołał w Słowacji wielki oddźwięk. Juraj Podhadszky żyjący już wtedy w Belgradzie, sędziwy weteran epoki „szturowców" powitał z entuzjazmem na łamach „Slovenskych Pohladov" przekład poezji Słowackiego, określając „grób Agamemnona" jako „fenomen wyrzucony z wulkanu" (1902).

Gdy w okresie międzywojennym wzrosło w Słowacji zainteresowanie literaturą polską i ukazało się szereg przekładów, nie zapomniano i o Słowackim. W zbiorku przekładów Andrzeja Żarnova „U polskych basnikov" (1936) znalazły się i Słowackiego „Mój testament"; „Klątwa" i „Sonet". Po tych tłumaczeniach nastąpiła jednak dłuższa przerwa — dopiero obecnie wydany przekład „Anhellego" nawiązuje nić przekładów Słowackiego u naszych sąsiadów na południe od Tatr.

J. R.

JÓZEF KLIMEK

# Roentgen Polski Współczesnej

JAKIE JEST POŁOŻENIE GEOGRAFICZNE POLSKI

Trzeba przyznać, że przemiany struktury geograficznej Polski współczesnej stworzyły swoisty rodzaj — i to wcale nie rzadkiego — analfabetyzmu: Cały zasób wiedzy geograficzno-statystycznej o Polsce, jakim dysponować musiał przed wojną każdy maturzysta, (w zmniejszonym zakresie — każdy opuszczający szkołę powszechną uczeń), stał się na razie nieaktualny, a conajmniej niedostateczny. Płynność migracyjna, zniszczenia wojenne i ich odbudowa, przemiany struktury ekonomiczno-socjalnej odrodzonego Państwa — oto elementy, które ten analfabetyzm poszerzały i pogłębiały. Pytania w rodzaju postawionego w podtytule stawały się trudnymi do rozwiązania zagadkami, do których klucze posiadało tylko bardzo niewielu wtajemniczonych.

OFENSYWA POZNAWCZA

Życie nie uznaje jednak — jak wiadomo — pauz i próżni. Te same elementy, które wywróciły nam dotychczasowy obraz Polski, zaczęły szybko urabiać nasze wyobrażenie *o zewnętrznym* obliczu Polski współczesnej:

Żołnierz I i II Armii, a przed nim jeszcze polski jeniec wojenny, przymusowy robotnik i więzień obozów koncentracyjnych, później osadnik i repatriant, który zaczął się osiedlać na tych ziemiach, szabrownik, który węszył za pewnymi i rzeczywistymi skarbami, urzędnik, który zaczął tu wprowadzać ład a organizację — oto pierwsi, „znawcy" nowej Polski. Autopsja, przypadkowość informacji, pobieżność uogólnień i związana z tym często mylność zdobywanych wyobrażeń i sądów, urabiały wiedzę tych „informatorów".

Naukowiec i dziennikarz, który już w czasie okupacji pracował nad tymi zagadnieniami, nie zawiódł również: czytający obywatel mógł już wnet dojść do posiadania informacji pełniejszych i prawdziwszych o wyglądzie, położeniu i gospodarce oraz pięknie Ziem Zachodnich, o ich historii oraz charakteryzujących je *przed wojną datach statystycznych.*

Jadący na Dolny Śląsk, Pomorze i Mazury wczasowicz, kuracjusz i turysta znaleźli już dzięki temu gotowy *stereotyp* informacyjny, częściowo bodaj *aktualny,* stosunki uporządkowane już do tego stopnia, że przy dobrej woli mogli sobie wyrobić *pogląd ogólny* na wagę i doniosłość skutków przesunięcia Polski ze wschodu na zachód.

Poglądową lekcję *myślenia* o tych zagadnieniach, właściwego ich rozumienia z odpowiednią mechaniką *ścisłych liczb* w skali całości Ziem Zachodnich i Polski — dała dopiero Wystawa Ziem Odzyskanych we Wrocławiu w r. 1948.

Równocześnie rozpoczęła się i trwa nadal intensywna walka z „drugą stroną medalu" zagadnienia — z „analfabetyzmem" przeszło milionowej rzeszy Polaków Śląska Opolskiego i Dolnego, Ziemi Lubuskiej, Mazurów i Warmii, którym propaganda niemiecka zdołała całkowicie przesłonić prawdziwy obraz Polski, malując w jego miejsce ohydny obraz barbarzyństwa, prymitywu i „podczłowieczeństwa". Najbardziej świadomi z nich bronili się nie tyle *wiedzą,* ile *wiarą* i zasadami *moralnymi:* „Polska *matką* naszą. *O matce nie mówi się nigdy źle.*" Ileż w tej zasadzie *rozpaczy* ludzi, których *pozbawiono wiedzy o Polsce,* jedynego *skutecznego* narzędzia w walce o jej *honor.* Wytrwali jedynie *wiarą i miłością,* któreśmy nie zawsze należycie oceniali.

ZDJĘCIE RENTGENOWSKIE

Wiedza o Polsce współczesnej nie może się jednak ograniczyć do formy interesującego filmu reportażowego. Ekonomista, administrator, polityk, demograf, socjolog, duszpasterz, pisarz i dziennikarz — a na dłuższą metę i każdy jako tako wykształcony człowiek — potrzebowali również obrazu *wewnętrznej* struktury Państwa i społeczeństwa, dynamiki przebiegających je zjawisk gospodarczych i kulturalnych, zdrowotnych i populacyjnych itp. Danie takiego zdjęcia *rentgenowskiego* Polski współczesnej należy do naczelnych zadań *Głównego Urzędu Statystycznego R.P.* (G. U. S.), instytucji cenionej u nas bardzo już przed wojną, a nabierającej jeszcze większego i coraz pełniejszego znaczenia w systemie gospodarki planowej.

Wywiązując się z tego obowiązku, — G. U. S. wydał ostatnio *„Rocznik Statystyczny 1948"* *) drugą powojenną kontynuację przedwojennego „Małego Rocznika Statystycznego". „Rocznik 1948" ukazał się w nakładzie *70.000* (siedemdziesiąt tysięcy) egzemplarzy, co bije rekordy wszystkich Klubów Książkowych i Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza (25.000 egz.), a nawet wydawnictw K. U. K., mimo ich jeszcze o 50 proc. niższej ceny. Nakład ten niewątpliwie jeszcze wzrośnie, w miarę natężenia woli dokształcania się przeciętnego polskiego inteligenta, w miarę *istotnej* aktywizacji myślenia socjalno - ekonomicznego szerokich mas.

Roentgen G. U. S.-u za rok 1948 nie jest naturalnie ideałem takiego zdjęcia. „Dorobek prac statystycznych za okres objęty tablicami niniejszego Rocznika nie może jeszcze ani *zakresem,* ani *dokładnością* posiadanych informacji w pełni odpowiadać odczuwanym potrzebom i stawianym wymaganiom" — stwierdzają w przedmowie St. Szulc i K. Romaniuk, prezes i wiceprezes G. U. S. „Zadośćuczynienie w pełni tym potrzebom i wymaganiom zależy od ... ścisłego dostosowania *programu badań* statystycznych i *organizacji aparatu* statystycznego do wymagań, jakie stawia gospodarka planowa Państwa ... (prace w tym kierunku są w pełnym toku); *wyszkolenia* dostatecznej ilości *fachowego* personelu na *wszystkich* szczeblach organizacji badań statystycznych; zdobycia należytych *środków technicznych* — w szczególności maszyn statystycznych, doszczętnie zniszczonych w okresie wojny ..."

Braki Rocznika są wskutek tych i innych przyczyn poważne: „Niemożliwym było m. in. zamieszczenie niezbędnych danych dla pełnego zobrazowania struktury agrarnej, struktury *przemysłowej* i handlowej oraz struktury *demograficznej i społecznej* Polski." Możemy jednak uznać tłumaczenie się redaktorów, „że usunięcie wielu z wymienionych wyżej braków będzie możliwe dopiero w wyniku przeprowadzenia zamienionego spisu powszechnego. „Spis powszechny to machina ciężka, jego wyniki będą długo niedostępne. A tymczasem, wobec zastrzeżeń odnośnie pełności i prawidłowości statystyki Urzędów Meldunkowych i Urzędów Stanu Cywilnego, nie mamy nawet względnie pewnych podstawowych danych statystycznych *o liczbie ludności* i jej *rozmieszczeniu.* Czy nie byłoby zatem wskazane *urządzić jeszcze w r. 1949 — wyjściowym dla strukturalnego planu sześcioletniego — spisu sumarycznego* na wzór spisu z 14. 2. 1946 r.?

W uwagach ogólnych do „Rocznika" stwierdza Redakcja, że „również i w niniejszym wydaniu Rocznika zrezygnować musiano z zamieszczenia tablic *międzynarodowych* ze względu na brak danych dostatecznie porównywalnych." Jest to brak bardzo poważny, a jego wytłumaczenia niestety przyjąć nie można. Przynajmniej nie w całej rozciągłości: Rocznik zawiera wszak szereg danych „niedostatecznie porównywalnych", a jednak lepsze są one w tej formie, niż żadne. Czasami nieporównywalność tablic zamieszczonych może być bardziej „w błąd wprowadzająca", aniżeli ewentualne różnice zakresu poszczególnych tablic międzynarodowych (np. „w tych tablicach, gdzie zamieszczono dane przedwojenne, odnoszą się one — o ile w poszczególnych wypadkach nie zaznaczono — do Polski *w granicach przedwojennych").* Brak tablic międzynarodowych *uniemożliwia nam porównanie,* czyni w pewnym sensie wartość Rocznika *iluzoryczną,* z oczywistą szkodą dydaktyczną. Wszak np. publikowane w dziale przemysłu i dochodu społecznego Wystawy Ziem Odzyskanych tablice wskaźników rozwoju produkcji (opracowane przez F. G. N.) wykazały olbrzymią dynamikę Polski w porównaniu z innymi państwami! Dlaczegóż tego nie pokazać czytelnikowi? Nie uczyć go myśleć porównawczo, a więc jedynie sensownie w ekonomii i polityce?

Jeszcze jedno: czyżby Rocznik o ukończonym *w marcu 1949 r.* druku nie mógł zawierać bodaj części danych *na cały* rok *1948?* Np. przy liczbie i rozmieszczeniu ludności czy ewidencji meldunkowej?

*Józef Klimek.*

*) — Rok XII, Warszawa 1949. Nakładem G. U. S., str. 270, cena 200 zł.

WIKTOR BAZIELICH

# HISTORIA
## Z KRONIKI TROGIRU

*Wiadomo, że w dawnych wiekach, a zwłaszcza w średniowieczu, władze kościelne stosowały często i gęsto ekskomunikę i interdykt bądź jako groźbę, bądź jako karę. Gdy ekskomunika, czyli wyklęcie ze społeczności chrześcijańskiej, rzucana była na poszczególnych ludzi, to interdykt ,czyli zakaz udzielania sakramentów (prócz chrztu i ostatniego namaszczenia), odprawiania nabożeństw i posług religijnych, nakładany był albo na poszczególne świątynie, albo na całe okręgi lub nawet kraje i państwa. Środkami tymi posługiwał się Kościół jako jedynymi prawie rygorami dla wymuszenia posłuszeństwa jego nakazom lub zakazom. W ówczesnych warunkach były to środki wcale nie bagatelne, a prócz grozy i przerażenia wśród wiernych pociągały za sobą także i skutki materialne. Spadały zaś na głowy nie tylko maluczkich, lecz także możnych i potentatów, a nawet monarchów.*

*Chcę tu opowiedzieć jedną taką skandaliczną historię z kroniki miasta Trogiru, w Dalmacji opodal Splitu leżącego, historię dla nas tym ciekawszą, że koniec jej położyła Polka, mianowicie Elżbieta Łokietkówna, matka króla Ludwika Węgierskiego, która w latach 1360—1361, a może i dłużej, była regentką Dalmacji, świeżo właśnie zdobytej na Wenecji. Objąwszy regencję osiadła Elżbieta w Zadrze, stolicy kraju, odbywając narady z delegatami miast dalmackich, sprawując sądy, wydając zarządzenia dla uporządkowania stosunków.*

*Wśród wielu zawiłych, nieraz zastarzałych spraw spornych, jakie dzięki jej ingerencji jako królowej-matki i regentki doznały zakończenia, znajdował się spór między kapitułą i biskupem trogirskim Bartłomiejem. Nawiasem mówiąc, to tenże biskup nie jest też całkiem obcy u nas w Polsce. Jego bowiem rękopiśmienny traktat lekarski w dziwny sposób, nie wiadomo jakimi drogami i kiedy, zawędrował do klasztoru bożogrobców w naszym Miechowie, skąd w 1819 r. dostał się do biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, a stamtąd zabrany został po upadku powstania listopadowego do Cesarskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu, dzisiejszym Leningradzie, gdzie może i do dzisiaj się znajduje.*

*Owa zawiła a skandaliczna sprawa sporna zaczęła się od tego, że na parę lat przed odebraniem Dalmacji Wenecjanom legat awiniońskiego papieża Innocentego VI, Idzi Albornoz, wyznaczony na kolektora annat i dziesięciny, nakazał duchowieństwu diecezji trogirskiej wpłacić wyznaczone kwoty do rąk biskupa Bartłomieja, który następnie wraz z swoim udziałem miał całą sumę przesłać legatowi. Biskup jednakże nie tylko swego udziału nie wpłacił, lecz całą sumę zebraną od duchowieństwa swojej diecezji po prostu sprzeniewierzył. Papieski legat, raz drugi w biskupim pałacu, chcąc zaprotestować przeciw zatrzymaniu złożonych przez nią annat i dziesięcin, co sprowadziło obłożenie katedry interdyktem ku wielkiej szkodzie kapituły i całego duchowieństwa katedralnego, a zgorszeniu wiernych. Szkodę tę obliczano już na 1000 dukatów. Biskup jednak kapituły nie przyjął, lecz odesłał ją do swego wikariusza Iwana Petrowa Castrafoci.*

*Kanonicy zażądali odszkodowania, którego połowę przeznaczali na katedrę, a połowę dla komory papieskiej. Wikariusz wysłuchał protestu, żądań i propozycji, lecz nie dał żadnej odpowiedzi, zasłaniając się brakiem upoważnienia ze strony biskupa. Kapituła zagroziła więc wniesieniem nowej skargi i odeszła z kwitkiem. Groźbę jednak wykonała i ponownie przesłała skargę na własnego biskupa tak papieżowi jak i legatowi. Widząc słuszność po stronie kapituły, wydał jej legat polecenie uroczystego wyklęcia biskupa, co też kapituła ochotnie wykonała pod koniec października 1359 r., mimo że biskup, starając się temu przeszkodzić, czynił różne przeszkody i trudności, zakazując np. służbie kościelnej bicia w dzwony, ogłaszania ekskomuniki. Rozwścieklilo go to oczywiście, a chcąc się zemścić na kapitule, oskarżył ją przed legatem papieskim o nieposłuszeństwo i naruszenie jego praw.*

*Otrzymawszy skargę biskupią, pozwał kapitułę przed swój sąd, aby się oczyściła z zarzutów. Kapituła wybrała swoim pełnomocnikiem kanonika Grubszę Dobro-*

*Trogir — Katedra*

Fot. W. Bazielich

*goczcina, a jako doradcę prawnego i zastępcę przydała mu magistra Opemina de Seffrio. Obaj wybrali się do Ankony, gdzie przebywał legat i jego sędzia generalny Piotr Luna. Na oznaczonym terminie rozprawy nie stawił się jednak ani sam biskup ani żaden jego zastępca. Pełnomocnicy kapituły złożywszy swoje oświadczenie, zażądali wyroku zaocznego, uniewinniającego kapitułę i skazującego biskupa na zwrot kosztów. Sędzia jednak odroczył wydanie wyroku. Kanonik Grubsza powrócił więc do Trogiru, pozostawiając Opemina jako zastępcę, aby czuwać nad sprawą i w razie wyznaczenia nowego terminu czym prędzej dał mu o tym znać. Ledwo Grubsza wyjechał, zjawił się w Ankonie pełnomocnik biskupa, frater Girardin Rabnis, który stanąwszy przed sędzią, przeczytał długi spis rzekomych przewinień kapituły i zażądał znowu wyroku zaocznego na nią. Opomenin, ratując sytuację, zarzucił Rabnisowi, że nie jest pełnomocnikiem biskupa, gdyż nie okazał pełnomocnictwa, a gdy się okazało, że pełnomocnictwo rzeczywiście posiada, zażądał nowego terminu w obecności pełnouprawnionych pełnomocników obu stron dla przeprowadzenia pełnej rozprawy i wysłuchania równoczesnego także i drugiej strony. Sędzia odroczył znowu sprawę do najbliższego terminu sądów zwyczajnych.*

*W tym stadium właśnie nastąpiła ingerencja królowej Elżbiety, która dowiedziawszy się o tym gorszącym sporze, postanowiła pogodzić biskupa i kapitułę z jednej strony, z drugiej zaś biskupa i legata, a tym samym uwolnić biskupa od klątwy. Ponieważ zaczątkiem całego sporu był fakt zatrzymania przez biskupa zebranych od duchowieństwa annat papieskich, a wskutek zamętu, jaki się w związku z tą sprawą wytworzył, biskup nie posiadał funduszów na zapłacenie sprzeniewierzonych sum, więc wszystko zależało od dostarczenia mu odpowiednich środków pieniężnych. Towarzyszący królowej biskup nitrzański Szczepan, jeden z jej powierników, otrzymał od niej polecenie rozpatrzenia i definitywnego załatwienia całej sprawy. Rozglądnąwszy się w niej, pożyczył biskupowi Bartłomiejowi 118 dukatów, które wpłacił do rąk biskupa szibenickiego Macieja jako pełnomocnika wyznaczonego przez legata, pokrywając w ten sposób sprzeniewierzenie Bartłomieja. Na mocy zaś zarządzenia królowej i zezwolenia Bartłomieja dochody biskupstwa trogirskiego zajęte zostały na rzecz Szczepana. Z zajętych dochodów miał być spłacony najpierw dług zaciągnięty u niego, następnie kwoty należne funduszowi ubogich i kościołowi, a po nich inne długi biskupa Bartłomieja, który dopiero po zaspokojeniu tych wszystkich pretensji będzie mógł pobierać dochody dla siebie. Aby zaś tymczasem miał z czego żyć i pełnić swój urząd, pozostawiono mu dochody z winnic i dziesięciny. Po zaspokojeniu roszczenia o annaty klątwa została z niego zdjęta, a skargi z kapitułą umorzone i zapanował spokój.*

*Wiktor Bazielich.*

LUDWIK BROŻEK

# Z dziejów pewnego »apokryfu«

Wydana w zeszłym roku książka *Mariana Tyrowicza „Sprawa ks. Piotra Ściegiennego"* (Warszawa 1948, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka") opowiada, iż idee, którymi posługiwał się Ściegienny dla pozyskania ludu, zawarte były w głośniejszym z jego utworów, mianowicie w *„Liście Ojca Świętego Grzegorza Papieża"* (stąd nazwa „bulli"), który był zmyślony co do treści i fałszywy co do autorstwa, bo pochodził w całości spod pióra Ściegiennego. Dr Tyrowicz przytoczył w wyjątkach i streścił ową „bullę" (str. 54—60), szkoda jednak, że jej nie ogłosił w całości.

Odsyłając zainteresowanych do owego streszczenia, podajemy za Tyrowiczem, iż pierwszy ogłosił tekst „bulli" carski historyk *N. W. Berg* w rosyjskim wydaniu *„Zapisków o polskich zagowarach i worstaniach"* (t. IV, Poznań 1885, str. 50-63), skonfiskowanych przez cenzurę. Około r. 1892, jak pisze *Zofia Balicka* w szkicu *„Ks. Piotr Ściegienny"* (Księga pamiątkowa ku czci prof. Marcelego Handelsmana, Warszawa 1929, str. 77-91), grupka socjalistów zza kordonu, natrafiwszy w „Zapiskach" Berga na „bullę" Ściegiennego, wpadła na myśl wyzyskania jej dla propagandy partyjnej. „Bullę" przerobiono w *„List otwarty do polskiego ludu roboczego napisany przez księdza Piotra Ściegiennego"*, z fałszywie podanym — dla zmylenia — miejscem druku: Stanisławów 1893. Nie ma w „Liście" mowy o chłopach i mieszczanach (jak w „Bulli") — zastępują ich robotnicy. Ostrzejszy jest również ton przeciwko panom i fabrykantom, a zwłaszcza księżom itd.

Oświetlił te sprawy i kwestię autorską poruszył *Władysław Pobóg-Malinowski* w artykule *Stanisław Przybyszewski w „Gazecie Robotniczej", Kto był autorem listu ks. Ściegiennego?* (Wiadomości Literackie 1931, 385). Przeróbki dokonano w berlińskiej „Gazecie Robotniczej", rozchodzącej się głównie po Górnym Śląsku. *Według Malinowskiego przeróbki dokonał Przybyszewski.* W związku z wydaniem i rozpowszechnianiem tej sfałszowanej odezwy stanęli przed sądem berlińskim wydawca „Gazety Robotniczej" Franciszek Morawski i jej redaktor odpowiedzialny Antoni Brzeskwiniewicz, oskarżeni „o *podburzanie ludu roboczego przeciw klasom posiadającym".* „Gazeta Robotnicza" z dnia 24 czerwca 1893 (nr 25) pisała w związku z tą sprawą:

Chodzi mianowicie o ulotkę o dwóch stronach (formatu 17 × 25 cm), zawierającą *„List otwarty do polskiego ludu roboczego napisany przez Księdza Piotra Ściegiennego".* Ulotkę, wydrukowaną na gazeciarskim papierze, ozdobiono kreskowym portretem ks. Ściegiennego. U dołu drugiej strony czytamy: *„Wydawnictwo i nakład „Latarni". Interpelacja posła Ignacego Daszyńskiego, wniesiona na 40 posiedzeniu w XVI sesji Izby posłów dn. 3 marca* 1900 r. W drukarni Wł. Teodorczuka w Krakowie". Ulotka opisana należy widocznie do rzadkości, skoro uszła uwadze znawców epoki.

Interpelacja parlamentarna Daszyńskiego, to przykład ciekawej metody wydawniczej. Socjalistyczna „Latarnia" w Krakowie chciała wydać „List Ściegiennego", lecz cenzura jej go nie puściła. Poseł Daszyński wnosi w tej sprawie w parlamencie wiedeńskim interpelację do ministra sprawiedliwości, czyta tam ten „List" i domaga się możności ogłoszenia go drukiem, lecz z góry wie, że go będzie mógł ogłosić. Przeczytany bowiem przez niego tekst „Listu" wchodzi do stenograficznego protokołu z posiedzenia, skrupulatnie przechodzi następnie do drukowanych sprawozdań parlamentarnych, a stamtąd, po zacytowaniu źródła, wolno już każdemu przedrukowywać co tylko zechce, bo to przecie wydawnictwo oficjalne, rządowe i t. d. Takiego źródła cenzor już się nie czepiał. W ten sposób niejedną rzecz „zakazaną" socjaliści w zaborze austriackim wydali, w ten też sposób w r. 1900 wydali „List Ściegiennego". Jeśliby to kogoś interesowało, to w pękatym tomie *„Stenographische Protokolle über die Sitzungen des Hauses der Abgeordneten des österreichischen Reichsrathes in den Jahren 1899 und 1900,* XVI Session, III Band: 32 bis 42 Sitzung" (Wien 1900) znajdzie istotnie na str. 2622—23 „List Ściegiennego" w całej swej *polskiej* osnowie, rozpowszechnionej później przez krakowską tłocznię Teodorczuka*).

Wydanie krakowskie, podobnie zresztą jak i wydanie berlińskie, ciekawe miało, jak widzimy dzieje. „List" wydrukowano i kolportowano z kolei w zaborze austriackim, a w r. 1906 i w zaborze rosyjskim, czyli że *„List" czytały masy robotnicze w całej Polsce!* Do wiedzy o Ściegiennym samym szczegóły przedstawione wprawdzie nic nowego nie wnoszą, jednak w dziejach jego apokryfu ważne to momenty. Zarówno wydanie Berga, jakoteż „List" stanisławowsko-berliński oraz inne, późniejsze jego wydania znajdujemy u Tyrowicza, oglądać je też można na wystawie kieleckiej, gdzie niestety nie ma wydania wiedeńsko-krakowskiego i stąd owa marginesowa „interpelacja" w sprawie „wydania interpelacyjnego", uzupełniająca dzieje tego apokryfu, podniesionego jak gdyby do potęgi.

*Ludwik Brożek*

*) Prócz „Listu Ściegiennego" w tejże interpelacji poruszył Daszyński sprawę wydania pieśni „Krew naszą długo leją katy..." (str. 2623—24). Interpelację podpisali prócz Daszyńskiego i towarzyszy m. in. także posłowie czescy, Cingr i Rieger. W tym samym tomie sprawozdań spotykamy interpelację w sprawie „Czerwonego Katechizmu" Franciszka Czerskiego. Przedruk „katechizmu" zajmuje strony 2287 — 2304. „Wiersz Szymona Konarskiego krótko przed śmiercią w więzieniu napisany", dołączony do „katechizmu", zasługuje na przypomnienie — z innych lat zawierają wiele różnych **poloniców** (niektóre utwory Daniłowskiego, Niemojewskiego itp.) i przewertowanie ich pod tym kątem widzenia mogłoby być wcale ciekawe!

J. W. GOETHE

## Nadzieja

**To mi dzieło rąk powszednie**
**daj wykończyć, harda dolo:**
**siła niech mię nie odbiegnie.**
**Czczegom nie jął się marzenia:**
**dziś paliki ponad rolą,**
**kiedyś w drzewa się wyzwolą,**
**zrodzą plon, użyczą cienia.**

## Pieśń utrudzeńca

**Któryś z nieba jest, a mocen**
**ból uciszać i cierpienie,**
**tego zaś, co się szamoce,**
**dwakroć zlewać orzeźwieniem,**
**otom ci już syty znoju,**
**nie chcę mąk i uciech nie chcę:**
**któryś z nieba jest, pokoju,**
**zejdź łagodnie w moje serce.**

Przełożył
**Tadeusz Bocheński**

WOJCIECH ŻUKROWSKI

# MATERIAŁY DO EPOPEI

Pamiętam chwile, gdy skuleni, niemal zetknięci czołami, wsłuchiwaliśmy się w przyciszony komunikat radiowy. Aparat był co dnia znoszony do piwnicy, spoczywał ukryty w specjalnym schowku pod węglem. Na pytania ojca odpowiadaliśmy lakonicznie — Warszawa walczy jeszcze... Potem na planie miasta próbowaliśmy wykreślić linie obrony, ale komunikaty były tak lakoniczne... Więcej mówił, doprowadzający nas do wściekłości chorał — „Z dymem pożarów". Zamiast zrzutów broni, nadawano go ku pokrzepieniu ginących... Pamiętne dni sierpniowe, niebo puste, jak ze srebrnawego popiołu, obławy, rewizje, nocami nieustanny warkot aut, strzały i daleki pomruk dział, zwłaszcza o rośnym świtaniu dosłyszalny wyraźnie.

W twarzach spotkanych ludzi jedno pytanie — czy wytrwają, czy ocaleją...

Byliśmy gotowi biec walczącym z pomocą, ale czuliśmy doprowadzającą nas do rozpaczy bezsilność. Głęboka łączność z powstańcami objawiła się w pełni, gdy pierwsze transporty nędzarzy rozwieziono po miastach i wioskach.

Wypytywaliśmy ich zatroskani o losy bliskich, o domy, parki, ulice, których już nie mieliśmy oglądać. Byliśmy spragnieni prawdy, choćby najbardziej bolesnej. Często padały słowa — historia to wyjaśni, książki opiszą... W rok po oswobodzeniu pojawiły się pierwsze, ale trudno w nich było odnaleźć pełnię naszego wyobrażenia o Warszawie, rozpoznać kształt, który unieśliśmy pod powieką. Każda z nich była zaledwie jednym z kręgów, w których się obracali autorzy, wyglądało na to, że istnieje wiele Warszaw i każda próba syntezy zakończy się niepowodzeniem. — „Miasto niepokonane" Brandysa — zarysowało zaledwie powierzchnię. Bliższa prawdy była książka Dobraczyńskiego — „W rozwalonym domu", choć i na nią grzmiał Borowski, że idealizuje dni powstania. Nie wierzył w ogrom bohaterstwa, w czystość uczuć łączących młodych. Mylił się jednak, pogranicze śmierci dobywało z ludzi zarówno małość i podłość, jak i zupełnie nieoczekiwane wartości, nie mówię tu o straceńczych odruchach, ale o świadomym poświęceniu, wynikającym z prawdziwej miłości. Dosyć dowodów podaje wstrząsający dokument walki, jakimi są pamiętniki Stanisława Podlewskiego, dwa tomy — „Przemarszu przez piekło".

Autor podjął się ogromnego dzieła, pokazał nam walkę odciętej dzielnicy Starego Miasta, wyszedł daleko poza ramy jednostkowego pamiętnika, zgromadził relacje setek naocznych świadków, powstańców, sanitariuszek, służb pomocniczych i cywilnej ludności, by dać materiał do epickiego obrazu powstania. Od formowania się oddziałów, zdobywania broni, przez powolne wykrwawienie się walczących grup, aż po bohaterską próbę wydarcia się z pierścienia, próbę, która przyspieszy klęskę — towarzyszy Podlewski pierwszej linii walczących. Zaplecze barykad pojawia się na drugim planie, właściwie życie cywilów, ludności ukrytej w piwnicach interesuje autora tylko wtedy, gdy poczynają działać nastroje paniczne i właśnie ci cywile zaczynają utrudniać operacje bojowe. Ludność Starego Miasta jest jedynie tłem, przysłonięta losami bohaterów — młodziutkich dziewcząt i chłopców, niemal zaciera się, czytelnik prawie zapomina o rzeszach z nadzieją wyczekujących uwolnienia. Bez literackiego mitologizowania, z samej relacji o działaniach wojskowych powstaje mit bohaterskiej Starówki, tragiczne piwnice, masowe groby w zawalonych domach czekają jeszcze na swego Borowskiego. Dopiero, gdy uprzytomnimy sobie los tych, którzy nie mogli przecieknąć kanałami do Śródmieścia, którzy nie mogli wyżyć się w walce, nie mieli nawet szansy, by sprzedać drogo życie, pojmiemy cały ich tragizm. W ostatnich rozdziałach opowiada Podlewski o samotnej drodze pokonanych. Obrabowani, mordowani w załomach murów, pędzeni przez kręgi piekła, asystują przy gwałceniu żon i córek, depczą po zwęglonych trupach poległych. Miasto leżało w gruzach. Największe poświęcenie nie mogło już stolicy ocalić. Przed każdym z niedawnych obrońców staje gorzkie pytanie — dlaczego tak się stało? Książką Podlewskiego dobitnie wyjaśnia przyczyny katastrofy i dlatego powinna się znaleźć w każdej bibliotece. Opowieść o klęsce szarpie sumienia, pobudza myśl, uwalnia od emocjonalnych schematów, do których tak przywykliśmy. Przestrzega przed kierowaniem się odruchami, choćby najszlachetniejszymi, przypomina o doświadczeniach, które zbyt łatwo chcemy zapomnieć.

Realizując ambitne dzieło, autor napotkał poważne trudności. Chciał opisać wydarzenia, jak najwierniej, lękał się, że pominie któregoś z powstańców, a każdy z nich zasługiwał na utrwalenie, nie mówiąc już o zgrupowaniach bojowych, o całych odcinkach walki — musiał więc Podlewski wybierać pomiędzy prostą relacją czasową, opisywaniem dnia po dniu, a indywidualnymi historiami żołnierzy, które wybiegając w przyszłość rozsadzały mu konstrukcję całości. Stąd pewna chaotyczność, przemieszanie czasu. Gorliwa chęć pokazania bohaterów aż po chwilę bliskiego zgonu kawałkuje narrację. Autor nie może liczyć na pamięć czytelnika, postaci biorących udział w walce jest legion, każda z nich jest godna zanotowania, osobnego nagrobku, z mnóstwa nagromadzonych epizodów pozostaje jednolite wrażenie — nadludzkiego bohaterstwa.

Książka Podlewskiego jest odpowiednikiem „Monte Casino" Wańkowicza, tylko że nie tak przejrzysta. Wańkowicz poszedł po linii działań operatywnych, a więc — opis miejsca akcji, zadania i ich bojowa realizacja. W działaniach na Starówce zasadniczo inicjatywa była w ręku niemieckim, więc i ten układ odpadał. Pozostawał jedynie czas, opisywać jak co dnia zaciska się żelazna obręcz.

Czytelnik nie może utrwalić sobie w wyobraźni etapów walki, zapamiętać wszystkich przegrupowań, w następnym wydaniu książka musi być zaopatrzona planami. Dobrze byłoby na nich zaznaczyć przeciwstawne dążenia niemieckie, ułatwiłoby to zrozumienie konieczności pewnych działań bojowych.

Rozumiem doskonale troskę Podlewskiego, lęk, żeby nie pominąć któregoś z kolegów. Toteż każdy z rozdziałów zawiera materiały wystarczające na powieść taką, jak „W rozwalonym domu" Dobraczyńskiego.

Autor daje się czasami ponosić żyłce literackiej, ulega zrozumiałemu wzruszeniu, stąd zbędne liryczne zwroty — „Krwawy szal go owionął" lub „dłonie jak złamane lilie". Ta metafizyka nie pierwszej jakości osłabia wrażenie. Tam, gdzie autor trzyma się oschłej relacji wydarzeń, wymowa ich jest dostatecznie mocna, by czytelnik przeżył wstrząs. Wydarzenia mają taki ładunek emocjonalny, że już nie trzeba ich literacko retuszować.

Ale są to drobne usterki, łatwe do usunięcia w następnym wydaniu. Książka Podlewskiego nie może być właściwie rozpatrywana jako dzieło sztuki, jest raczej z pogranicza reportażu i dokumentu. Kopalnią materiałów do badań współczesnej historii.

Jak na dłoni, widzimy obok wspaniałego bohaterstwa młodocianego żołnierza, niedołęstwo dowództwa, karygodny brak przygotowań do masowego wystąpienia, wreszcie celowe fałszowanie informacji o położeniu, w które została wpędzona ludność Stolicy. Uderza zadziwiająca bierność sztabów, wydarzenia dzieją się jakoś tak same, lawinowo. Rozbieżnie działają siły żołnierzy, którzy do ostatka zaufali dowództwu. Jedna po drugiej przepadają możliwości przebicia się na prawy brzeg, rozkaz — trwać, utrzymać gruzy oznacza nie tylko śmierć najlepszej młodzieży, ale i zagładę miasta. Książka Podlewskiego działa trzeźwiąco na niejeden zapalny łeb domorosłego stratega.

A jednak mimo obrazów przejmujących grozą, jest w niej nurt optymizmu. Naród, zdolny do takiej ofiarności, młodzież tak bohaterska może wielkich rzeczy dokonać. Tkwią w nas olbrzymie energie, które tylko trzeba uruchomić i należycie skierować. Myślę, że właśnie w tej ofiarnej pasji, z jaką odbudowuje się Warszawa, widzimy kontynuację tamtej walki o wolność, jaką podjął lud stolicy, każdego dnia rodzą się bohaterzy, święcimy nowe zwycięstwa tym razem na froncie pracy.

WOJCIECH ŻUKROWSKI.

Stanisław Podlewski Przemarsz przez piekło — 2 tomy, str. 423.

# Dwa pomniki

*Dwa pomniki. W Weimarze, mieście Goethego i Schillera ulica Parkowa przemianowana została na ulicę Puszkina. Równocześnie założono tu kamień węgielny pod pomnik Puszkina. W tym samym czasie w Berlinie przemianowano szosę Treptowską na aleję Puszkina. Równocześnie jednak w centrum Hamburga wciąż jeszcze króluje pomnik żołnierski ośmiometrowej wysokości. Mimo protestów demokratycznej i antyfaszystowskiej części mieszkańców Hamburga pomnik stoi dalej na swoim miejscu, jako symbol pruskiego militaryzmu, a nawet pojawiają się przed nim bukiety kwiatów. Warto przypomnieć przy tym, że rada Hamburga składa się w większości z przedstawicieli SPD.*

# wśród CZASOPISM

**Czesko-słowacki miesięcznik literacki — Polski numer miesięcznika „Literarni Noviny" — Jarosław Haszek w opałach.**

Życie literackie w Czechosłowacji uległo przed rokiem poważnym przemianom organizacyjnym. Zreorganizowany został związek pisarzy czeskich i analogiczny związek pisarzy słowackich, przy czym utworzyły one jedną wspólną organizację pod nazwą Svaz ceskoslovenskych spisovatelu. Nowy związek, łączący pisarzy obydwu narodów, posiada inną zupełnie strukturę. Poprzedni Syndykat Pisarzy Czeskich przypominał mniej więcej nasz Zaiks, gdyż łączył wszystkich ludzi piszących, a więc także i uczonych, dalej radiowców, filmowców, publicystów i t. p. W nowym związku zorganizowani są już wyłącznie literaci. Tak przekształcona organizacja pisarzy czeskich i słowackich przystąpiła w styczniu b. r. do wydania własnego pisma p. t. „Novy život". Jest to miesięcznik, poświęcony współczesnej literaturze i krytyce.

*„Novy život"* jest więc reprezentacyjnym pismem literackim Czechosłowacji. Wchodzi on po części na miejsce zlikwidowanego z dniem 31. grudnia ub. roku miesięcznika „Kytice", ale różni się od niego poważnie charakterem. Organ Związku Pisarzy Czechosłowackich służy wyłącznie realizmowi socjalistycznemu. Drukuje tylko poezję i prozę, która postulatom tego kierunku odpowiada, a w części krytycznej przynosi oceny wyłącznie oparte o jego kryteria estetyczne i ideologiczne. Część literacka ma wybitną przewagę nad częścią krytyczną. Każdy zeszyt przynosi kilkanaście najnowszych wierszy poetów czeskich i słowackich oraz kilka fragmentów prozy czeskiej i słowackiej lub opowiadań czy nowel. Część krytyczna ogranicza się do kilku drobniejszych zasadniczo omówień. Z większych studiów ukazały się tylko uwagi *S. Machonina o realiźmie socjalistycznym* i jego niektórych zasadach kreślone w oparciu o znaną już i u nas, przynajmniej z radia, powieść Ażajewa *„Daleko od Moskwy"*. Zresztą krytyka w tym piśmie nie jest nastawiona na recenzowanie nowości, lecz na problematykę i teorię. To założenie redakcyjne wydaje się zupełnie słuszne. Pod tym względem Czesi i Słowacy są od nas bardziej systematyczni. Materiał literacki czasopisma jest równie interesujący i doskonale ilustruje pracę pisarzy czeskich i słowackich nad sprostaniem wymaganiom, które stawia im socjalizm. Rozmaitość gatunków literackich jest tu zresztą duża. Czytamy tam prócz fragmentów powieści, nowele, opowiadania, urywki scenariuszy filmowych (m. in. fragment scenariusza *Miłosza V. Kratochvila o tematyce czesko - polskiej p. t. „Grunwald"*), słuchowiska radiowe i reportaże. Dla nie uprzedzonego czytelnika jest to bogata i pouczająca lektura. Umożliwia ona wgląd w proces narastania i umacniania się socjalistycznego kierunku w literaturze czeskiej i słowackiej. W sumie stwierdzić trzeba, że „Novy život" dobrze reprezentuje czołową i przebojową grupę pisarzy czeskich i słowackich oraz jej dążenia. Dla wielu entuzjastów talentu Wacława Rzezacza w Polsce nie obojętna będzie wiadomość, że trzeci zeszyt tego pisma przyniósł fragment jego nowej, powstającej dopiero powieści z życia czechosłowackich ziem odzyskanych.

Inna nie obojętna dla polskiego czytelnika pozycja *to polski numer miesięcznika „Literarni Noviny"* (nr. 3—4), wydawanego przez wydawnictwo ELK dla zorganizowanych w jego „klubach literackich" czytelników. Numer jest naprawdę dobrze i ciekawie zredagowany. Okładkę zdobi wielki portret Mickiewicza, wewnątrz numeru mamy przekład wiersza Słowackiego „Pogrzeb kapitana Meyznera" i artykuł *prof. Karola Krejczieg*o" Mickiewicz i Słowacki". Tyle materiałów z okazji wielkich rocznic. Artykuł wstępny napisał zasłużony tłumacz poetów polskich na język czeski *Jarosław Zavada*, który pisze o dziejach zbliżenia polsko-czeskiego poprzez literaturę i pisarzy. Podobny temat bardziej szczegółowo rozwija prof. *Marian Szyjkowski* w artykule „Czesko - polskie związki kulturalne w przeszłości". Spory udział w opracowaniu numeru ma drugi tłumacz poetów polskich *Jan Pilarz*, który dwie kolumny przekładów wierszy Tuwima, Jastruna, Broniewskiego, Gałczyńskiego i Różewicza poprzedza artykułem informacyjnym o współczesnej poezji polskiej. Również dwie kolumny zajmuje dawna i nowa fraszka polska z doskonałymi rysunkami Józefa Paukerta w wyborze *Anetty Balajkovej* i w przekładach *Radovana Kratkego*. Prozę reprezentuje fragment „Rzeczywistości" Putramenta (powieść ta w przekładzie *H. Teigovej* ukaże się nakładem ELKU). Dopełnieniem numeru jest artykuł *Józefa Grabowskiego* o polskiej grafice ludowej oraz szkic *Hany Budinovej* o Leonie Schillerze (Mistrz sceny polskiej). Numer jest bogato i ciekawie ilustrowany (m. in. polskie drzeworyty artystyczne i ludowe).

W jednym z zeszytów miesięcznika „Novy život" zwróciła moją uwagę notatka o Jarosławie Haszku. Postać to literacko i życiowo osobliwa i niezwykle charakterystyczna, a w Polsce dzięki „Szwejkowi" wcale popularna. Notatka ta domaga się wydania wyboru opowieści satyrycznych Haszka, które wyszły za życia i po śmierci autora w kilkunastu zbiorkach. Autorowi w szczególności chodzi o opowieści z życia chłopów węgierskich, nacechowane prawdziwym humanizmem i internacjonalizmem. Postulat ten zainteresował mnie tym bardziej, że ostatnio zwrócono uwagę na te przesłonięte przez „Szwejka" świetne opowiastki także i w Polsce. Mają one wyjść w wyborze w polskim przekładzie, przy czym wyboru ma dokonać jeden z czeskich humorystów, współpracownik „Dikobraza". Tymczasem Haszek jako autor tych opowieści znalazł się u nas już w opałach, gdyż zaatakowało go od tej strony aż dwóch tłumaczy naraz. We wrocławskiej *„Gazecie Robotniczej* tłumaczy go nieoczekiwanie Stanisław Dygat, w *Szpilkach* Stefan Krysiak. Dygat poprzedzając cykl swoich przekładów felietonem o Haszku i „Szwejku" przesolił w superlatywach, bo takie choćby doszukiwanie się w postaci bohatera czterotomowej powieści Haszka wcielania geniuszu ludu czeskiego jest grubą przesadą. Ale kto zna prozę Dygata, jego zmysł humoru i poczucie komizmu, lekkość i temperament jego pióra, uznać musi, że podług kwalifikacji pisarskich trudno o lepszego u nas tłumacza dla prozy Haszka. Niestety zalety te w ogłoszonych przekładach nie przejawiają się. Może zbyt słaba znajomość języka, a niewątpliwie skrępowanie oryginałem i nieśmiałość wobec obcego tekstu powodują, że przełożone przez Dygata nowele Haszka nie oddają ani pisarskich zalet autora, ani nie wyczerpują możliwości tłumacza. Poza tym znajdzie się tam nie jeden szczegół do zaczepienia z punktu widzenia trafności przekładu. Jeszcze słabiej prezentuje się przekład Krysiaka, gdzie mamy szereg wyraźnych omyłek nie mówiąc już o takim brzmieniu imion, jak św. Jury czy św. Petronila. Dlatego trzeba zwrócić uwagę, że Haszek w ogóle nie jest łatwy do tłumaczenia, a poza tym wszystkie tłumaczenia prozy humorystycznej i satyrycznej należą do zadań szczególnie trudnych. Najczęściej bowiem zachodzi tu wypadek, że w przekładzie gubi się humor. *(Bor)*

## Prapremiera baletu we Wrocławiu

# „Paw i dziewczyna"

Muzyka sceniczna w polskiej literaturze muzycznej stanowi bardzo skąpy rozdział. Opery, które zdobyły sobie trwałe obywatelstwo na scenach, moglibyśmy z łatwością policzyć na palcach rąk, z twórczością baletową jest jeszcze gorzej.

Luka ta razi szczególnie w okresie intensywnej akcji umasowienia kultury muzycznej, gdyż obie te formy, dzięki włączeniu pierwiastka wizualnego, są niezwykle cennym środkiem upowszechnienia muzyki. Powściągliwość naszych kompozytorów jest niezrozumiała, zwłaszcza w dziedzinie muzyki baletowej, gdzie wcale liczne zastępy polskich tancerzy, stojących na dobrym poziomie i gwarantujących jakość wykonania, powinny być bodźcem twórczości.

Z radością więc przywitaliśmy ukazanie się *baletu Tadeusza Szeligowskiego „Paw i dziewczyna"*, do scenariusza *Wacława Kubackiego* napisanego według egzotycznej baśni *Bolesława Leśmiana*.

Akcja baletu rozgrywa się w podzwrotnikowej dżungli, zamieszkałej przez dzikie plemiona kolorowych wojowników. Wódz ich dzielny Dżananda wraz ze swą uzbrojoną w dzidy drużyną jest postrachem mieszkańców puszczy. Po udałym polowaniu na lamparty, zmęczony tańcem zwycięstwa usypia pod drzewem. We śnie zjawia mu się gromada dziewcząt tańczących wokół wspaniałego pawia. Najpiękniejsza z dziewcząt, uwiedziona tęczą piór królewskiego ptaka darzy pawia swym uczuciem. Zazdrosny Dżananda napina łuk, lecz zamiast pawia trafia śmiertelną strzałą dziewczynę, splecioną z ptakiem w tańcu miłości. Dżananda, zrozpaczony, rzuca się na ciało zabitej dziewczyny, a wtedy z pawia opadają pióra i ukazuje się bóg Indra, który pod postacią ptaka usiłował zdobyć serce dziewczyny (podobnie jak Zeus Ledę. — Widocznie bogowie greccy i indyjscy mają podobne systemy!). Dżananda zamierza się na Indrę, ale bóg z tajemniczym uśmiechem na ustach znika.

Dżananda budzi się. Sen o zabiciu pięknej dziewczyny zrobił na nim tak wstrząsające wrażenie, że odrzuca swój łuk, odprawia wojowników i postanawia więcej nie zabijać! Odtąd w dżungli panować będzie pokój!

*W muzyce Tadeusza Szeligowskiego*, o charakterze ilustracyjnym, dominuje klimat podzwrotnikowej dżungli. Już krótka uwertura wprowadza w parną atmosferę monotonnym dźwiękiem stale powtarzających się dwóch tonów w skrzypcach na tle posępnych akordów instrumentów blaszanych. W jednostajny gwar dżungli wplatają się flety i klarnety jak jaskrawe krzyki ptaków i małp. Intermezza muzyczne między trzema obrazami baletu, aż „pachną" tajemniczą, ciemną puszczą tropikalną.

Pierwszy obraz rozpoczyna taniec małpki o żartobliwym motywie, który poprzez niespokojne „Allegro vivace" przechodzi w fugujące się tematy lamparta. Wiolonczelowy, „skradający się" finał tego tańca przerywa marsz myśliwych i brzmiący synkopowanym rytmem tam-tamu taniec wojowników i Dżanandy. Bogaty temat rozwija się bez powtórek do duetu lampartów i obraz kończy się znów rytmicznym tańcem zwycięstwa, przechodzącym w usypiający Dżanandę temat dżungli.

II-gi obraz to sen Dżanandy utrzymany w pastelowych barwach instrumentacji. Po krótkim scherzu „zabawy dziewcząt" dźwięczy najpiękniejszy fragment „Pieśń nocy tropikalnej" — taniec pawia w rytmie habanery, którego płynną melodię przerywa krzyk ptaka. Łatwo wpadająca w ucho, lecz banalna melodia na „¾" duetu pawia i dziewczyny kończy się triumfalnymi fanfarami boga Indry.

W trzecim obrazie muzyka ilustruje przebudzenie się Dżanandy wśród radosnego rozgwaru dżungli, który zakłóca zjawienie się wojowników. Dziki motyw ich tańca rozpływa się w uspakajającym temacie Dżanandy. Balet kończy się tańcem „symbolu pokoju", opartym na potężnym chórze waltorni i trąbek.

Mimo egzotycznej barwności tematu i dominującego pierwiastka rytmiki, „Paw i dziewczyna" nie jest łatwym do realizacji baletem. Tańce zwierząt i dzikich łatwo mogą skusić baletmistrza do wkroczenia na płytką mieliznę rewii. Poza tym libretto jest dość ubogie w tematy taneczne, które w scenariuszu powtarzają się kilkakrotnie. Pewne partie muzyczne rozwijają się zbyt długo (np. taniec dzikich, gdzie na przeszło 300 taktach przewija się melodia bez nawrotów tematycznych), a rytmy, aczkolwiek ciekawe i urozmaicone, zmieniają się co kilka taktów, zbyt szybko dla odtworzenia ich w tańcu.

Baletmistrz Państwowego Teatru Dolnośląskiego *Zygmunt Patkowski*, reżyserując i inscenizując „Pawia i dziewczynę", wyszedł obronną ręką z trudnego zadania, ominął niektóre tańce, które wymagałyby efektów „cyrkowych" (jak np. taniec słonia czy kołysanka małp na linach) i ani na chwilę nie przekraczając niebezpiecznej granicy „łatwizny rewiowej", dał widowisko barwne i urozmaicone. Można by się spierać czy wprowadzenie „symbolu pokoju" do finału baletu harmonizowało z całością, nie mniej *uwypuklono* przez to *szlachetną myśl przewodnią scenariusza*.

*Państwowy Teatr Dolnośląski Balet T. Szeligowskiego „Paw i dziewczyna"*

*Zespół baletowy P. T. D.*, który dzięki wytężonej pracy osiągnął dobry poziom techniczny i artystyczny, wykazał duży umiar w charakterystycznych tańcach, nie wpadając w płaską groteskę. Na podkreślenie zasługują drobiazgowo wystudiowane i podchwycone w ruchach tańce lampartów *(K. Kmito i H. Najman)* i igraszki małpki *(U. Gryglewska)*.

Świetną kreację taneczną, ciekawie przemyślaną i wykończoną w każdym szczególe stworzył niezwykle uzdolniony *Henryk Tomaszewski* jako paw.

Bardzo pięknie tańczyli „Dżanandę" i „Dziewczynę" *Maksymilian Mróz i Kazimiera Patkowska*, oraz „Symbol Pokoju" *Henryka Stankiewiczówna*.

Tańce myśliwych nieco przydługie — nie zaszkodziłyby w tych partiach znaczne „obcięcia".

*Dekoracje Wacława Borowskiego* oszczędne w barwach i szczegółach, pełne smaku, przy każdej zmianie światła nabierające nowego wyrazu, może tylko zbyt przejrzyste — skutkiem czego nie dawały wrażenia dusznej atmosfery podzwrotnikowej dżungli.

Dobrze grającą orkiestrę prowadził dyr. *Kazimierz Wiłkomirski* wydobywając egzotyczny klimat muzyki. Dzięki trafnie uwypuklonej przez dyrygenta dynamice i agogice nawet miejsca zbyt skąpo instrumentowane brzmiały interesująco.

*Wojciech Dzieduszycki*

# Pomorze i plastyka

**Plastyka — na Pomorzu — nie znajdowała przez wieki całe warunków, które by umożliwiały jej pełny i swobodny rozwój. Inter arma silent musae — a Pomorze, region graniczny, będąc przecież przez wieki całe w stanie walki jednej z najbardziej bezlitosnych w dziejach — musiało być, na długie nieraz okresy „Krajem Milczenia".**

**Na przerwę międzywojenną przypadają lata pierwszego porywu, pierwszych prób odrobienia zaległości. Prób związania wysiłku kulturalnego Pomorza z dorobkiem artystycznym całej Polski. W sukurs budzącej się dopiero rodzimej sztuce regionu — przybył wówczas na Pomorze cały zastęp plastyków tej miary co — Leon Wyczółkowski, Julian Fałat, Felicjan Kowarski, Leonard Pękalski czy Leon Dołżycki. Niestety, prócz Wyczółkowskiego, pozostali — po kilku już latach opuścili region pomorski. Nie znaleźli tu dla siebie odpowiednich warunków pracy. Nie znaleźli nawet choćby jednego stałego salonu wystawowego czy jednej uczelni artystycznej. Marzenia o pełnych możliwościach dla normalnego życia plastyki zrealizować się miały dopiero po drugiej Wojnie Światowej, po jeszcze jednym, najpotworniejszym chyba ze wszystkich najeździe krzyżackim na te ziemie.**

**I znowu, jak ongi, do pomocy nad odbudową polskiej kultury artystycznej na Pomorzu stawił się poważny zastęp plastyków z całej Polski. Ale już tym razem nie odpłynął, bowiem potrzeby kulturalne Pomorza natrafiły na pełne zrozumienie u ludzi kierujących polityką kulturalną odrodzonej Polski. W trakcie kilku zaledwie lat powstały do życia instytucje, które, nareszcie, stwarzają Pomorzu możliwość normalnego rozwoju jego sił twórczych. I tak w powstałym przy Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu Wydziale Sztuk Pięknych uzyskało Pomorze swoją wyższą uczelnię artystyczną plastyki. Państwowe Liceum Technik Plastycznych w Bydgoszczy szkoli szeregi pracowników artystycznych a Państwowe Ognisko Kultury Plastycznej wespół z zespołem kursów artystycznych Związku Polskich Artystów Plastyków we Włocławku — podjęło szeroką akcję na odcinku zwalczania analfabetyzmu plastycznego pomorskiego społeczeństwa. Na hym samym froncie podjęły od kilku lat systematyczną działalność stałe salony wystawowe — w pomorskim Domu Sztuki w Bydgoszczy i w Domu Plastyków w Toruniu. Działalność wystawowa muzeów pomorskich, zwłaszcza zaś w Bydgoszczy, Toruniu, Włocławku i Grudziądzu niesie cenną pomoc Związkowi Polskich Artystów Plastyków w jego pięknym ale nie łatwym dążeniu do zdobycia mas pomorskich dla plastyki.**

**Związek ten — skupiający w Okręgu Pomorskim stu nieomal plastyków pracujących na terenie województwa pomorskiego (przed okupacją — 30), ma już w swym dorobku nader poważne osiągnięcia. On to inicjował i organizował salony wystawowe, współdziałał przy powstaniu szkół artystycznych, powołał do życia Spółdzielnie Pracy Artystów. Jego wysiłkiem i staraniem odbyły się dziesiątki wystaw plastyki w Bydgoszczy i Toruniu. Systematyczną akcją wystawową ogarniał nie tylko**

*Tymon Niesiołowski: Fragment projektu na dekoracje wnętrza Teatru Miejskiego w Bydgoszczy*
Fot. B. Woźniewski

*Marian Turwid: Portret przodownika pracy*
Fot. B. Woźniewski

**stawą Doroczną prac członków Okręgu Pomorskiego ZPAP w Pomorskim Domu Sztuki w Bydgoszczy. Na pokaz ten złożyły się prace: Borysowskiego, Biedowicza, Brzęczkowskiego, Cichockiego, Cieślika, Czarnockiego, Daszkiewiczowej, Frydrycha, Gajewskiego, Gossa, Grabarza, Jamontta, Kossakowskiej, Kuczyńskiego, Kulikowskiego, Łuczaka, Makowskiego, Mokrzyckiego, Niesiołowskiego, Nowickiego, Pazdowej, A. i J. Rafińskich, Szyszko, Triblera i Turwida.**

**W dalszej kolejności gościł salon wystawowy stolicy Pomorza dzieła członków Okręgu Krakowskiego ZPAP, pokaz Plastyki Czechosłowackiej. Wystawę projektów na pomnik ku czci poległych w walce o wy-**

*Stanisław Borysowski: Portret przodowniczki pracy*
Fot. Czarnecki

**zwolenie Pomorza bohaterów radzieckich i wystawę projektów na dekorację wnętrz nowozbudowanego gmachu Teatru Miejskiego w Bydgoszczy. Ostatnie dwie wystawy zgromadziły interesujący materiał konkursowy. Jury konkursu na pomnik nie przyznawszy nikomu pierwszej nagrody, drugą przydzieliły Marianowi Wnukowi z Gdańska oraz Tadeuszowi Godziszewskiemu z Torunia. Trzecią nagroda przypadła Stefanowi Narębskiemu z Torunia.**

**Jury konkursu na projekt dekoracji wnętrz Teatru Miejskiego w Bydgoszczy za pracę najlepszą uznały projekt Jacka Żuławskiego z Sopotu. Drugą nagrodę otrzymał Tymon Niesiołowski z Torunia. Poza tym przyznano dwie trzecie nagrody — Stefanowi Wojciechowskiemu i Stanisławowi Borysowskiemu z Torunia.**

**Na dalszą ekspozycję złożył się pokaz prac członków Okręgu Pomorskiego zorganizowany w ramach uroczystości 1-Majowych pod hasłem „Człowiek i praca". Do wystawy tej włączono także cykl portretów przodowników pracy.**

**Po przeniesieniu wystawy Portretów Przodowników Pracy do Torunia, salony Pomorskiego Domu Sztuki wypełniły się dziełami Józefa Pankiewicza, sprowadzonymi przez spadkobierców artysty z Paryża.**

**Niezależnie od wystaw organizowanych przez ZPAP — odbyła się w Pomorskim Domu Sztuki doroczna wystawa prac uczniów Państw. Liceum Technik Plastycznych i Państwowego Ogniska Kultury Plastycznej Wspomnane pokazy są obok dorocznej „wystawy sprawdzającej" Wydziału Sztuki przy UMK w Toruniu, interesującym poglądem na charakter i rodzaj uzdolnień plastycznych młodzieży pomorskiej. Są nadto z roku na rok coraz bardziej przekonywającym zaprzeczeniem opinii o rzekomej jałowości artystycznej terenu pomorskiego.**

**Ostatnią ekspozycją tegoroczną przed przerwą wakacyjną w stolicy Pomorza to wystawa prac członków Okręgu Poznańskiego ZPAP. Poznań i Kraków to ośrodki, które z najwydatniejszą przychodziły pomocą artystom pomorskim w ich wysiłku zmierzających do wyplenienia ostatnich śladów okupacji kultury niemieckiej i do całkowitego pozyskania społeczeństwa pomorskiego dla urok u polskiej sztuki i urody polskiego stylu życia.**

**Marian Turwid.**

## *Krótkie spięcia*

# Książka gen. Haldera

*„Plus que ça change, plus ça reste la meme chose" — jak mówi francuskie przysłowie, ale właściwie nie powinno ono być przysłowiem francuskim, lecz niemieckim. Bo w powiedzeniu tym, że im coś bardziej się zmienia, to tym bardziej zostaje tym samym, zachodzi bardzo wyraźna aluzja do stosunków, jakie istnieją w zachodnich Niemczech. Naprzykład, czy wiadomo, jaka książka cieszy się największym powodzeniem w tzw. Bizonii? Książka, która nosi tytuł: „Hitler, Bóg wojny"..Autor: Generał Halder, były szef sztabu ex-Führera. Książka sama, według relacji prasy zagranicznej, jest dosyć małym tomikiem, którego okładkę pomalowano w kolory czarny i czerwony (białym jest papier — więc kombinacja „schwarz-weiss-rot" jest całkowicie zachowana) zdobi portret Adolfa. No oczywiście, jeśli dziełko generała Haldera traktuje o Hitlerze, to jasne.*

*I o czym pisze w tej swej książce Halder, zwolniony przez Hitlera z funkcji szefa sztabu jeszcze w roku 1942? Czy pochwały na rzecz Führera? Właśnie, że nie — i na tym polega spryt gen. Haldera.*

*Halder po prostu udowadnia, że Niemcy przegrały wojnę przez Hitlera. Gdyby ten prymitywny umysł, nie znający się na sprawach wyższej strategii, nie mieszał się do armii niemieckiej, Niemcy dawno by wojnę wygrały. Tylko cóż, megaloman Hitler i zupełny ignorant w rzeczach wojskowych poprowadził „najlepiej uzbrojony i najdzielniejszy naród świata" (ipsissima verba Haldera) ku przepaści, mimo, że ten naród był zaangażowany w „najbardziej sprawiedliwej wojnie w dziejach historii".*

*I zdaniem Haldera dopóki Hitler nie wtrącał się całkowicie do spraw armii, wszystko jeszcze było w porządku. Kampania przeciwko Polsce była słuszna i sprawiedliwa, tak samo inwazja Norwegii, taksamo inwazja Holandii, Belgii i Francji, kampania bałkańska także a jakże, no i rzecz prosta wyprawa przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Były to operacje wojskowe całkowicie udane, a tylko dlatego, że armie prowadził do boju stary niemiecki sztab generalny, złożony z junkrów, prawdziwych wodzów „narodu niemieckiego pod bronią" (no i w czasie pokoju).*

*Ale jak ignorant i dyletant Hitler do tego się wmieszał i usunął „prawdziwych wodzów" (to znaczy m. in. gen. Haldera), popsuł sprawę i zaprzepaścił owoce zwycięstwa, które było tuż tuż i więcej niż pewne.*

*Jaki jest cel książki zacnego pana Haldera, eksgenerała i ekswodza? Naturalnie — prosty i jasny. Niemcy wcale wojny nie przegrały. To znaczy nie przegrały jej teoretycznie. Gdyby nie Hitler, dawno jużby nad światem panowały Niemcy. A więc, gdyby wszystko potoczyło się tak, jak chciał niemiecki sztab generalny, to mowy by nie było o dzisiejszym stanie faktycznym. A zatem armia i naród spełniły swój obowiązek, a tylko jeden wariat Hitler wszystko popsuł. Brzydki Hitler! Dlatego też należy powiedzieć narodowi niemieckiemu „prawdę".*

*Tak jak to było po pierwszej wojnie światowej. Nie armia niemiecka ją przegrała, tylko Żydzi i komuniści. Pamiętamy przecież tę ówczesną argumentację Ludendorffów, Seecktów et tutti quanti. Z tej argumentacji wyrósł później Hitler i druga wojna.*

*Dziś znowu, ponieważ nie można zwalać odpowiedzialności na Żydów i na komunistów, to nie armia przegrała wojnę, tylko Hitler. Dlaczego? Dlatego, aby znowu znalazła się droga dla kogoś, który by tego Hitlera zastąpił.*

*Na marginesie wypada jeszcze zaznaczyć, że książki Haldera nie sprzedaje się w Bizonii jawnie. To znaczy nie ma jej w księgarniach na wystawach, natomiast znajduje się ona na tylnych półkach. Ale jest za to czytana masowo. Poprostu „best seller".*

*Rzecz oczywista, że „best seller" — bo jeśli Niemcy teoretycznie nie przegrały wojny i jeśli mogły ją wygrać, to znaczy, że gdy kiedyś spróbują po raz drugi, a właściwie po raz trzeci — to wszystko pójdzie inaczej. Byleby tylko trzymać się wskazówek generała Haldera.*

*Prawdopodobnie następna książka gen. Haldera będzie udowadniała, że Niemcy wojny nie tylko nie przegrały, ale w ogóle ją — wygrały. Bo jak już to już.*

*Żarty jednak na bok. Nie można powiedzieć, żeby w tej Bizonii dobrze się działo.*

*Czemu się zresztą z uwagi na opiekunów Bizonii, nie dziwimy.*

*Niejaki X.*

# Ruch wydawniczy

**W roku jubileuszowym Mickiewicza nie zapomina się również i o jubileuszu Słowackiego. Skromniej co prawda wypadają uroczystości ku jego czci, nawet w czasopismach literackich przeważa tematów mickiewiczowskich jest przygniatająca, specjalny numer „Kuźnicy" jest tutaj wyjątkiem. Ostatnio Państwowy Instytut Wydawniczy wydał zapowiadaną długo biografię literacką Pawła Hertza pt. PORTRET SŁOWACKIEGO, Warszawa 1949, str. 208, ilustracji 16. Zastrzegając sobie osobne omówienie tej pięknej książki notujemy tu jej ukazanie się jako fakt niemniej doniosły od Jastrunowego „Mickiewicza".**

*Pracowitość Wacława Kubackiego odczytać można nie tylko ze spisów treści poszczególnych pism literackich, bije ona także wyraźnie w oczy z biuletynów wydawnictw. Notujemy dwie nowe książki Wacława Kubackiego. Państwowy Instytut Wydawniczy wydał jego KRZYK JARZĘBINY, który przeszedł zwycięsko swą próbę sceniczną. Wydawnictwo M. Kot w Krakowie natomiast wydało jego szkice i rozprawy pod ogólnym tytułem, odmierzającym zresztą zakres treści, PIERWIOSNKI POLSKIEGO ROMANTYZMU, stron 192. W drugiej tej książce jak w warsztacie odkryć możemy także źródła i materiały, które posłużyły Kubackiemu do napisania swego „Krzyżaku jarzębiny".*

SIENKIEWICZEM zaopiekował się specjalnie troskliwie Państwowy Instytut Wydawniczy. Prócz świeżo wydanego QUO VADIS, w dwóch tomach, stron 317 i 335 — nareszcie! po wznowieniach w wielu krajach oraz po ukazaniu się dwóch nowych przekładów! — dostaliśmy do rąk pierwszą serię zapowiedzianego niedawno pełnego wydania dzieł Henryka Sienkiewicza w czterdziestu tomach. Pierwsza seria obejmuje 10 tomów (4 tomy „Krzyżaków", Listy z Afryki i pięć nowel), starannie przygotowanych pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego do druku, z podobiznami Sienkiewicza lub jego autografów i z krótkimi przypisami dotyczącymi tekstu lub wyjaśnień rzeczowych do tekstu. Poszczególne tomy ukazują się na dobrym papierze i drukowane są czytelną czcionką.

**Wydana przez Zakład Narodowy imienia Ossolińskich BIBLIOTEKA NARODOWA na dobre już się zadomowiła we Wrocławiu, co stanowi o początku nowej świetnej tradycji kulturalnej uniwersyteckiego Wrocławia. Cztery nowe tomiki stoją pod znakiem Słowackiego i Kochanowskiego, Jana z Czarnolasu TRENY i ODRAWA POSŁÓW GRECKICH i Juliusza Słowackiego POWIEŚCI POETYCKIE I BENIOWSKI. Oba tomiki Kochanowskiego zawierają cenną nowość, nieznaną w dawniejszych przedwojennych wydaniach: dodatek źródłowy, a więc wzory, przepisy i sądy o danym dziele. Z pewnością dodatek ten pojawiał się będzie odtąd we wszystkich nowych wydaniach Biblioteki Narodowej, która reprezentuje najlepsze w tej chwili wzory edytorskie literatury klasycznej.**

Z nowości dla młodzieży wymienić trzeba przede wszystkim *Tadeusza Kraszewskiego* w dwóch tomach ROBINA HOODA i MARIANNĘ, wydanego przez poznańskie Wydawnictwo Zachodnie i Morskie. Książka zawiera ilustracje Feliksa Śmiełowskiego.

To samo wydawnictwo, które od pewnego czasu specjalizuje się w wydawaniu współczesnej powieści czeskiej, obdarzyło nas cennym przekładem Karola Czapka INWAZJI JASZCZURÓW (Walka z mloky). Przekładu dokonała Jadwiga Bułakowska.

Marian Turwid więcej nam jest znany jako malarz i redaktor „Arkony" niż jako poeta. Nowy tom poezji Mariana Turwida pod skromnym tytułem WIERSZE przynosi na 28 stronicach ślicznie wydanej książeczki utwory z różnych lat, wszystko prawie liryki o subtelnym osobistym charakterze. Tom ukazał się w ramach bydgoskiej Małej Biblioteki Arkony. Nakład 240 egzemplarzy książki, która nie została pomyślana jako wydawnictwo bibliofilskie świadczy o pesymiźmie wydawców odnośnie czytelników poezji. O czytelnikach w ogóle pamiętać warto zdanie Claudela: Po czytaniu wierszy poznacie ich.

SZTUKA PISARSKA ŻEROMSKIEGO pióra *Stanisława Adamczewskiego*, to nowe wydawnictwo M. Kota w Krakowie, stron 447. Po tylu wznowieniach Żeromskiego w okresie powojennym, po ukazujących się wciąż nowych tomach zapoczątkowanego przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik" zbiorowego wydania jego pism, książka Adamczewskiego jest upragnionym przewodnikiem po twórczości Żeromskiego, wprowadza nas w tajniki tworzenia tego arcymistrza języka, uczy nas patrzenia na każdą jego książkę nie tylko jako na dzieło sztuki ale także jako na obraz z życia.

# Korespondencja

## *Rozprawa z panem Chochlikiem*

Szanowny Panie Redaktorze!

Wiem, że to głównie moja wina, bo przysłałem nie maszynopis, tylko rękopis (a piszę, jak kura patykiem). Ale w mojej recenzji pt. „Rozprawa z panem szambelanem", zamieszczonej w „Odrze" z 7. VIII. br. (Nr 29) szczególnie hasały frywolne „chochliki" drukarskie. Chciałbym sprostować choć kilka:

1) W cytacie z „Romansu Teresy Hennert" Zofii Nałkowskiej **opuszczono drugą część zdania.** Winno brzmieć: **„Był niezadowolony z innych, ponieważ nie był zadowolony z samego siebie".**

2) Zdanie o grze Marji Gelly, wskutek dodania słówka „nie" zmieniło swój sens na wręcz przeciwny i zupełnie niesprawiedliwy. Winno ono brzmieć: (Gella) **„jako Marta ma komizm prawie groteskowy, lecz potrafi go połączyć z psychologicznem prawdopodobieństwem".**

**Wojciech Natanson.**

*Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry", Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II piętro. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73*
R-019711